

**czytamy klasykę literatury**

**LITERATURA POLSKA**

**Stanisław Ignacy Witkiewicz**  
**Pożegnanie jesieni**

**POWIEŚCI**

**WYDAWNICTWO PSYCHOSKOK**



Stanisław Ignacy Witkiewicz

## Pożegnanie jesieni

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2016

Stanisław Ignacy Witkiewicz

„Pożegnanie jesieni”

Copyright © by Stanisław Ignacy Witkiewicz, 1927

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2016

Skład: Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

Wydawnictwo: Ferdynand Hoesick, 1927

Druk: Drukarnia Narodowa

w Krakowie

ZACHOWANO PISOWNIĘ  
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Tekst jest własnością publiczną (public domain).

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania  
lub edytowania tego dokumentu, pliku  
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

ISBN: 978-83-7900-729-5

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706  
<http://www.psychoskok.pl/>  
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

# Rozdział I

## HELA BERTZ

Było jesienne popołudnie. Atanazy Bazakbal, bardzo niezamożny, dwudziestokilkoletni, świetnie zbudowany i niezwykle przystojny brunet, ubierał się pośpiesznie, a jednak starannie. Jego jasno-zielone oczy, nos prosty i dość dumne, łukowate usta, koloru surowej wątroby, stanowiły względnie sympatyczną grupę widzialnych organów jego ciała. Zapach czarnego z niebieskiem krawatu przypomniawszy mu przedostatnią jego kochankę, blondynę o długich, wysmukłych nogach i wadliwie osadzonym nosie. Wspomnienie słów bez sensu, które wyrzekła w chwili ostatecznego rozstania, wybuchnęło jak daleki pocisk i zgasło następnie, razem z rozwianiem się słabych perfum.

Pół godziny temu Atanazy definitywnie postanowił pójść do Heli Bertz. Był tam już parę razy zresztą, ale nigdy dlatego... W każdym razie nie programowo. Cel tej wizyty przerażał go, a jednocześnie wszystko było takie małe i marne, jak tych kilka muszek, wirujących wkoło niezapalanej lampy u sufitu, w żółtym odblasku, odbitego od przeciwległej kamienicy, słońca. Niewspółmierność stanów wewnętrznych i materiału faktycznego dławiała niby mątwą, wpita od środka w najistotniejszy, życiodajny bebech — może było to serce.

Atanazy zdecydował się na ten krok, bo nie mógł już dłużej wytrzymać. Nie bez Heli Bertz, choć ta podobała mu się kiedyś zupełnie niebezpiecznie — nie: poprostu nie mógł więcej znieść ogromu swojej miłości do narzeczonej, którą właśnie w tym czasie zanadto zaczął kochać. Czy można kochać z wzajemnością zanadto? Nonsens — a jednak sytuacja Atanazego była fatalna: miłość tego nałogowego analityka potęgowała się w sposób fantastyczny, bez żadnych, widocznych dlań, przyczyn. Hela Bertz była oczywiście żydówką, i wcieleniem wszystkiego tego, co Anatazemu w kobiecie jako takiej podobać się mogło. Prócz tego była, aż do pewnych nieprzekraczalnych granic, kobietą notorycznie łatwą.

O tem przekonał się Atanazy na pewnym wieczorku, zakończonym „popojką” à la manière russe. Ale czy ta łatwość za pierwszym razem nie kryła jakichś niebezpiecznych zasadzek na dalszy dystans?

„O jakże dziwne formy, może przybrać szaleństwo ludzi zdrowych” — tak rzekła mu, ściskając ostatni raz jego rękę, pani Gina z Osłabędzkich Beer, żona bogatego żyda i kuzynka jego obecnej narzeczonej. Po raz pierwszy zastanowił się nad tem pozornie bezsensownym zdaniem. Przez sekundę stał nad przepaścią, która otworzyła się w jego wnętrzu, niespodziana, jak krater, zionący ogniem wśród nudnych pól mazowieckiej równiny: gurgito nel campo vasto — zdanie przybłąkane niewiedzieć skąd. Gdyby chciał, mógłby się w tej chwili dowiedzieć wielu rzeczy ważnych: należało tylko pytać, a tajemny głos odpowiadałby na wszystko z matematyczną precyzją, odkrywając istotę najcięższych przeznaczeń. Ale Atanazy był, w przekroju tym, we władzy drobnych spraw życia i to z „płciowego zakresu”. Wstrętne! Ileż chwil takich zmarnował już przez zwykłe lenistwo i podstawianie nieodpowiednich liczb za ikisy i ygreki w równaniach czystego losu, które stawiał mu przed wewnętrznym wzrokiem przypadek niezasłużonych objawień. Dziś parametrami były: narzeczona i Hela Bertz, a zmienną, raczej ich systemem, jak zwykle on sam, rozszczepiony na kilkunastu swych sobowtórów. „Czemu właśnie Hela Bertz, a nie choćby ta biedna Gina (wcale nie była znowu taka biedna), czy jaka inna z byłych, czy możliwych kochanek? „Z inną nie byłoby to zdradą, a ja muszę zdradzić ją naprawdę. Hela jest najpiękniejszą i najinteligentniejszą (i najbogatszą — coś szepnęło), kobietą jaką znam. Ona jedna odpowiada temu najwyższemu „standardowi” zdrady jaki jest potrzebny. — Poco ten „standard”? Wystarczy pocałować ją, a z innemi...? Tak — to jest szaleństwo ludzi zdrowych! A może ja naprawdę jestem warjat?” — Przeraził się, ale na krótko: ujrzał znów przed sobą zielone oczy Zosi. „Ta uratuje mnie nawet od obłądu”, pomyślał z bezmierną, druzgocącą wszystkie inne uczucia miłością. Uczuł się małym, podłym stworem i z szaloną siłą zapragnął jakiegobądź wywyższenia ponad samego siebie. Na razie jednak nie zmienił swych postanowień. Taki był jego fatalny los. Ale co to kogo obchodzić mogło? A jednak...

Swój ohydny plan postanowił Atanazy wykonać à coup sur. „Czy ja tylko nie jestem przypadkiem zupełnie zwykła, mała, pospolita, smutna świnia, „un cochon triste?” — pomyślał chwytając słuchawkę telefonu.

— Czy panna Hela?

— Tak, kto mówi?

— Mówi Bazakbal. Czy pani jest sama?

— Tak. To jest... właściwie...

— Chciałbym przyjść pomówić z panią o Prouście, Valérym i tak dalej...

— Proszę — tylko zaraz. O 5-tej jedziemy z Kubą na wystawę potworności. Nikt jak on nie umie... Atanazy odłożył nagle słuchawkę. Zaleciała go znana atmosfera tak zwanego prawdziwego, „demonizmu”, tego „kobiecego świata”, tego świństwa, w którym ciała, dusze i suknie są tylko wabikowem dopełnieniem samoistnie żyjących organów płciowych, jak płatki kwiatów wokół słupków i pręcików. Tylko, że tam jest to piękne... Szalony wstręt do płci wogóle wstrząsnął nim od samych podstaw. „O, gdyby to hermafrodytycznie, jak ślimaki, bez tego rozdziału osobowości! Ach, kto wymyślił całą tę dziką fantasmagorję. No tak: my się z tem zżywamy tak, że przestaje to być dla nas dziwnem. Ale jeśli zastanowić się, że ktoś to w tamto i przytem...” Metafizyczna potworność erotyzmu stała się dlań jasna jak nigdy. A jednak narzeczona Zosia była jakby pozatem. „Miłość jest czemś innem, musi być — i jeśli tak samo przez się nie będzie, stworzę to świadomie. Tylko te dodatki... Kochać jedną kobietę jak przyjaciela (i to jest wstrętne) i mieć pozatem dowolną ilość kochanek (Cóż jest wstrętniejszego?) — to byłby ideał. A ona też tak samo? Nie — symetryczność jest tu wykluczona. Zdrada kobiety jest zupełnie czemś innem, niż zdrada mężczyzny. „My wkładamy tylko to w tamto, one wkładają w to (w co?) uczucie” — przypomniało mu się przykre zdanie dawnego przyjaciela, bolszewizującego poety, Sajetana Tempe. „Dowodzi również zasadniczej różnicy tych zrad, bajka o eksperymencie z białą króliczyką: dama ta, raz tylko zdradziwszy swego białego męża z czarnym kochankiem, do końca życia rodziła od czasu do czasu łaciate dzieci.”

Transcendentalna bezwyjściowość sytuacji i nierozwiązalność związanych z nią problemów stała się jasna jak słońce, jak  $2 \times 2$ . A jednak trzeba było brnąć dalej w ten kłęb sprzeczności, jakim jest życie, to, o którym się mówi w wymiarach psychologiczno-społecznych, to zwykłe, nawet w swoich niezwyklostkach i co gorzej, brnąć w całe istnienie, już na drugim piętrze zagadnień, tam gdzie trwają niezmiennie konieczne pojęcia i ich konieczne związki, w sferze Ogólnej Ontologii. Niezgodność tych dwóch światów stawała się coraz bardziej męcząca i bezsensowna. Jak emulsja oliwy z wodą — choćby najdokładniej zbita, wykaże zawsze w dostatecznem powiększeniu odrębne kuleczki tłuszczu. „ Jednak na dnie istnienia, u samych jego podstaw tkwi jakiś piekielny nonsens i to nonsens nudny. Ale ta nuda jest wynikiem dzisiejszych czasów. Dawniej było to wielkie i piękne. Dziś tajemnica zeszła na psy i coraz mniej jest ludzi, którzy o tem właśnie wiedzą. Aż w końcu szarość jednolita pokryje wszystko, na wiele, wiele lat jeszcze przed zgaśnięciem słońca”. Przypomniała się Atanazemu książka Arrheniusa „Losy Planet” — zniechęcenie, nie metafizyczne już, ale geologiczno-astronomiczne,

złamało go na chwilę zupełnie. A więc kompletny „aprenudedeluzyzm”? A ludzkość, a ideały ogólne, a szczęście powszechne? „Od społeczeństwa nie wywiniesz się, bratku — z niego wyszedłeś i nic ci tu nie pomogą żadne abstrakcje” — rzekł kiedyś ten przeklęty Tempe. Krąg sprzeczności zamknął się nad myślą, jak woda, ponad rzuconym w nią kamieniem. Dosyć. Nagle Atanazy stęzał w poczuciu nieodwołalności wyników swoich postanowień. (Poprzedni świat zapadł się bezgłośnie w jakąś niewidzialną z widowni świadomości zapadnię). Gdyby nawet był obecnie na utrzymaniu, (o co go posądzano w związku z romansem z panią Beer) nie zmieniłoby to ani na włoskę jego doskonałej w tym momencie proporcji psychicznych danych. Jak kula działowa, wystrzelona z tajemniczej otchłani bytu, pędził, by uderzyć i roztrzaskać się o kres swego życia, z tym samym bezsensu, z którym wszystko inne też śpieszyło ku swemu końcowi. A pieniędzy trochę miał, zarabiając je jako aplikant adwokacki: „O gdybym mógł ujmować wszystko, co się dzieje, w związki funkcjonalne, a nie przyczynowe”, pomyślał z zazdrością w stosunku do jakiegoś nieznanego i niewyobrażalnego nawet pana, który przypuszczalnie tak właśnie wszystko ujmował. „Nie rozdzielać niczego na ordynarne kompleksy przyczyn i skutków, nie widzieć małych celowostek — czuć płynącą falę rozkoszy i cierpienia w splątanych pokłębieniach całości Istnienia, w nieskończonym zazębieniu wszystkiego ze wszystkim, graniczącem z Niebytem, z Absolutną Nicością. Psychologja ameby jednym słowem...” Małe sprawy, połączone z wyjściem z domu, przecięły na szczęście te myśli, raczej niedomyślenia. „Tak przeżywa Wszechświat Bóg”, „domyślił” jeszcze z trudem, zupełnie już nieszczerze. Przebrzmiała przed chwilą telefoniczna rozmowa przeleciała jakby obok niego w postaci uderzających o siebie metalowych blaszek, o cierpkim smaku nieodwołalnej zbieżności zdarzeń. „Muszę ją zdradzić dziś właśnie, inaczej ona też nie będzie szczęśliwa — ostatni dzień — jutro już nie potrafię tego uczynić”. Nakleił te słowa na obecną chwilę, jak markę na list kłamliwy. Nic nie miał już do pomyślenia i straszne uczucie wielkiej, bezprzyczynowej miłości do narzeczonej, Zosi Osłabędzkiej, zważyło się nań znowu ciężarem nie do zniesienia. Czuł, że nie ma sił na spełnienie swego zamiaru, a nie dający się zanalizować, groźny zwał potężniejszego uczucia wypiętrzał się przed nim do niebotycznych rozmiarów. Jak inaczej przeskoczyć tę nieprzewycięzalną przeszkodę? Jak można tak bez powodu, bez zastrzeżeń, bez wiary nawet w tę miłość; tak kochać — tak właśnie? Tegoby sam Strug nie opisał.

Wiedział, że powrót do jednej z dawnych kochanek będzie tu niczem: jakimś pyłkiem w stosunku do potwornych żelaznych hantli, którymi z ostatnim



wysiłkiem żonglował jeszcze, uśmiechając się do swego obserwatora, zastępującego mu w chwilach takich szerszą publiczność. Bezmierny smutek, związany z koniecznością tej programowej zdrady zaciągał, jak nadchodząca długa niepogoda, cały psychiczny horyzont. A bez tego...? — dławiąca męka nieznośnego uczucia, zjadającego wszystko, jak złośliwy nowotwór. Pomyślał to temi właśnie słowami: „Niema właściwie nic do zjedzenia — przecież jestem niczem. A jednak... życie jest jedno”. Pierwszy raz uświadomił sobie naprawdę ten przykry truizm i postanowił nieodwołalnie bronić się. Mało brakowało, aby się rozplakał. Zacisnął zęby i połknął z wysiłkiem duży pakiet skroplonego żalu.

— Urojone problemy — zamruczał z wściekłością w kierunku kogoś nieistniejącego, który robił mu najwyraźniej ten zarzut. Kto to był? Daleka perspektywa różnorodnych obłądów ukazała się, jak pejzaż nocny w blasku nagłej błyskawicy i połknięta przez ciemność, zmalowała znowu do niezrozumiałej jak zwykle chwili obecnej.

Właśnie wchodził w ulicę Dolnych Młynów, na której mieszkała Hela Bertz. Słońce zachodziło, wypełniając powietrze żółtym pyłem. Widok ten spotęgował w nim żal do rozpierających wnętrzności rozmiarów. Przypomniawszy sobie teorię mikro- i megalosplanchizmu, według której ludzkość dzieli się na dwa zasadnicze typy: bardziej kobiecy i bardziej męski, w zależności od przewagi nerwu błędnego, lub sympatycznego. Zrozumiał całą swoją bezsilność i beznadziejność wszelkiej walki: mikrosplanchici nie są zdolni do Wielkiej Miłości: był to aksjomat. A jednak to, co czuł w stosunku do Zosi było chyba czymś choćby w „tym rodzaju”? Czyżby szedł teraz, by zdradzić ją, jedyną ukochaną, z niesympatyczną mu w gruncie rzeczy, przeinteligentniałą semitką o rudych włosach, gdyby to uczucie nie było czymś przerastającym jego normalną skalę przeżyć istotnych, których miał już tyle? Sprzeczność tych stanów i niewiara w osiągnięcie szczęścia przybiły go zupełnie. Wlókł się krokiem zgrzybiałego starca, a na skroniach i pod dolnymi powiekami wystąpił mu zimnawy pot przerażenia.

Zębata, górsko-fantastyczna linja sylwet domów, uciekających w daleką perspektywę ulicy, przypomniawszy mu jesienny wieczór górski, który tam trwał bez niego. Cóż mogły go obchodzić spojrzenia innych mord, twarzy i masek na te jedyne dla niego „kompleksy elementów”, jak mówił Tempe, psychologista. Czuł jednoczesność odległych zjawisk, bezpośrednio daną, jakby dotykalszą. „Czemu fizycy uważają definicję jednoczesności za trudną?” pomyślał. „Gdybym był dostatecznie wielki widziałbym jednocześnie ten zrąb kamienic i skałę w Dolinie

Złomisk, tak, jak jednocześnie widzę dwa odbicia przeglądającego się w oknach słońca. Definicja jednoczesności implikuje przyjęcie pojęcia Istnienia Poszczególnego: w obrębie samego poglądu fizycznego jest niemożliwa". Zabłyśło mu w oczy pomarańczowe słońce, oddając ostatnią falę promienistego ciepła prosto w twarz. Zapadł sino-szary mrok i jednocześnie Atanazy wszedł do pałacu Bertzów. Olbrzymie schody z czerwonego marmuru i ściany klatki schodowej, pokryte mosiężnymi, złocionymi płytami o zawiłych deseniach wschodnich i ten ciepły zapaszek najwyższego dobrobytu: świeżości i czystości, dobrej skóry i dobrych perfum i czegoś jeszcze zupełnie nieuchwytnego, podziałały nań rozdrażniająco. Potęga tej, niewidzialnej w danej chwili, kobiety, skondensowana w jej bogactwie, pozwalająca jej w każdej sekundzie na dokonanie jakiegoś dzikiego, fantastycznego czynu; swoboda, którą zostawiał jej steroryzowany obietnicą samobójstwa ojciec; manja samobójcza, która czyniła z niej jednak mimo wielu niesmaczności coś wzniosłego i nieuchwytnego — wszystko to razem podniecało go do niej w tej chwili w sposób wstrętny i upokarzający. Zastąpił mu drogę lokaj w czerwonej liberji, smutny, piękny, ordynarny chłopiec. „Napewno kocha się w niej też, a może...” Odsunął go delikatnie na bok i minawszy trzy prawie puste, ponure, ciemno-czerwone saloniki, wszedł bez pukania do małego „dziewiczego” („raczej półdziewiczego” — pomyślał) pokoiku Heli, graniczącego ze wspaniałą sypialnią. Postanowił być brutalnym. Czerwone kolory mebli, obić i dywanów działały nań jak na byka.

Mimo półmroku zdążył zauważyć „Kubę” — (księcia Prepudrech) i Helę, rozrywających się z szalonego pocałunku. Prepudrech zerwał się, a Hela wybuchnęła samicowatym śmiechem, który zdawał się pochodzić jakby z niższych części jej podobno wspaniale sklepionego brzucha. (Mówił o tem Atanazemu kiedyś sam Prepudrech, w przystępie nienormalnej u niego szczerości).

Księżę — Jakób, Cefardi, Azalin — był to młodzieniec lat dwudziestuparu, niesłychanie szykowny i piękny. Między paniami i podlotkami z grubej plutokracji uchodził za szczyt dystynkcji. Prawdziwa arystokracja nie przyjmowała go wcale, uważając jego perski tytuł za podejrzany — mogli u niej bywać zdeklarowani parjasi, ale nie taki niewyraźny jakiś Prepudrech.

Atanazy witał się zimno, pośpiesznie. Banalność sytuacji stawała się dlań wprost nieznośną. Mignęła mu w pamięci akwaforta Klingera „Die Rivalen”: dwóch zaciekle dźgających się nożami drabów i „ona”, z wachlarzykiem w ręku, obserwująca uważnie, który z nich zwycięży, aby mu się oddać, zaraz, na ciepło,

zbroczonego krwią tamtego. Na tem tle wielkość i czystość uczucia do Zosi wyolbrzymiała do niemożliwych już zupełnie rozmiarów. Zdusił go za gardło szalony gniew na siebie i na wszystko, co miało i musiało nieodwołalnie nastąpić. Cofnąć się było niepodobieństwem: brnięcia dalej wymagała przewrócona do góry nogami ambicja — chęć wykonania pozornie trudnych postanowień. W gruncie rzeczy postanowienia te były trudnemi na powierzchni tylko: był to raczej wstręt do złamania cienkiej warstewki szlachetniejszych materiałów, pod którą rozgaszczało się, łatwe do przyjemnego zabrnienia, bagno pseudo-interesującej komplikacji i tak zwanej „psychicznej perwersji”.

— Panie Prepudrech — rzekł z wymuszoną niegrzecznością Atanazy — mam mieć z panną Helą bardzo ważną rozmowę. Czy nie mógłby pan skrócić swojej wizyty? Razem państwo nie pojedą — o tem niema mowy — dokończył z niebywałą siłą i stanowczością. W oczach Heli Bertz błysnął jakiś złowrogi płomień, a nozdrza rozdęły się jej niespokojnie. Zanosilo się na lekką chociażby walkę mężczyzn i niewiadomo co kryło się za jej rozstrzygnięciem. Mała popołudniowa niespodzianka.

— Właśnie, że pojedziemy. Rozmowę możemy mieć kiedybydź; choćby dziś po kolacji. Pojedzie pan z nami, potem pod lada pozorem pozbędziemy się Kuby i cała noc będzie jeszcze przed nami — wycedziła Hela tonem obojętnym, jakby chodziło tu o najzwyczajniejsze rzeczy.

Wesoły dotąd książę nagle stężał i zaponurzył się. Uderzony znienacka zapadł się niespodzianie w nieczystą otchłań płciowych cierpień. Ten wieczór miał być jego własnością. Kochał się w Heli już od paru miesięcy i wściekał się, nie mogąc doprowadzić jej do tego, aby zaczęła traktować go na serjo. Całowała się z nim do utraty zmysłów, w wolnych od innych rozrywek chwilach, a potem odpłacała mu swój upadek zupełnem lekceważeniem. Upokorzony, zazdrosny i coraz więcej rozjadawiony wracał do niej, jakgdyby był przywiązany na gumce. Nie mógł nawet użyć jako antidotu innych kobiet — miał do nich wstręt nieprzewyciężony.

— Nie, panno Helu. Wieczór dzisiejszy mam zajęty: muszę rozmówić się z panią natychmiast — wybełkotał prawie Atanazy.

Przez twarz panny Bertz przeleciał bury cień i błękitne jej oczy zabłysły w mroku czystym, zimnym blaskiem zdumienia.

— To coś nowego! Nie widzieliśmy się tak dawno, a pan ma wieczór zajęty. I czemże to? Czy może znowu Łohoyski....?

— Łohoyski nie ma z tem nic wspólnego: wytłómaczę to pani później.

— Później, później! Nie lubię tych warunków i zastawek: całej tej pseudo-komplikacji, w której się pan babrze z taką lubieżnością. Jest pan w gruncie rzeczy dziecko. Ale mimo to lubię pana.

Prepudrech, który zdążył się już trochę opanować, zachichotał z nieszczerym tryumfem.

— A więc jedziemy — rzekł, zbliżając się do Heli posuwistym krokiem notorycznego dancingbubka. Przechodząc potrącił Atanazego, który napięty jak struna stał z zaciśniętymi pięściami, podobny jakiemuś śmiesznemu zwierzęciu, gotującemu się do skoku. Tego było zanadto.

— Panie Prepudrech — rzekł wibrującym głosem Atanazy, głosem, w którym czaiła się maskowana żądza — jeśli pan w tej chwili nie opuści tego pokoju nie rękę za to, co nastąpi.

Prepudrech odwrócił się. Był bladawy, a na jego czole widać było między fałdami podłóści kropelki potu.

— Jestem zdumiony pańską bezczelnością — zaczął dłuższe przemówienie. Niedokończył. Atanazy ujął go za ramiona, szybko obrócił i metodą „tit-for-tat” doprowadził do drzwi. W lustrze zobaczył jego twarz pełną bezradności i zdumienia i nagle zrobiło mu się go żal. Ale wszystko szło dalej automatycznie: puścił prawą rękę księcia, otworzył drzwi i wypchnął go lewą do saloniku obok. Przekręcił klucz i krokiem dzikiego zwierza podszedł do Heli. Dyszała ciężko, patrząc nań rozszerzonymi oczami. Wydały mu się bezdenne. Zakołysał się podcięty straszem, ślepem pożądaniem, które ścisnęło go za gardło jak ohydny polip. Zrozumiał teraz czemu kochał Zosię, a nie tę ..... Ale tylko rozumiał w jakimś oddzielnym, jakby nie należącym do niego „everythingtight” kompartmentcie swojej istoty. Jedna tylko żądza wypełniała go po brzegi. W całym ciele poczuł tę dziwną mieszaninę rozluźniającej słabości i prężącej się siły: zapowiedź dzikiej, niesamowitej rozkoszy, której tak długo już nie doznawał. Coś szepnęło w nim imię „Zosia”, ale słowo to było martwe, bez znaczenia. „Właśnie dlatego, programowe świństwo”, pomyślał.

— To bydlę podsłuchuje... Niech pan poczeka — szepnęła

Hela drażniącym skrzekiem, w którym było oczekiwanie czegoś brutalnego, miażdżącego. Była jakby rozplaszczona w tem oczekiwaniu, miękka i bezwładna. Mimo, że myśl o narzeczonej zaledwie musnęła świadomość Atanazego, całe pożądanie zniknęło momentalnie bez śladu. Przeciwne elementy zniosły się jak dwie liczby o odwrotnych znakach: wynik był równy zeru. „Poco ja żyję?” pomyślał

z bezmiernem umęczeniem.

Pokój zalewał szybko szaro-fioletowy zmrok. Chwila obecna, niezmienna, przeciągała się niepomieranie. Atanazemu zdawało się, że stoi tak wieki całe. Omdlałość i prężność ustępowała powoli z mięśni, gromadząc się w sercu, gęstniejąc w kłębek tępego bólu. „Cierpienie istnienia samego w sobie”, przemknęły słowa bez sensu. Dałby wiele, aby w tej chwili leżeć mógł sam na sofie w swoim pokoju. Z utęsknieniem pomyślał o „tamym” mroku, o „tamtych” muchach dookoła lampy i o „tamtych” myślach, które go nawiedzały jedynie tam, u niego, o szarej godzinie. Były to chwile, w których współczesne życie, ale dalekie jakby i obce samo sobie, jaśniało tym tajemniczym blaskiem, który normalnie miały dlań tylko pewne najlepsze okresy przeszłości. „Zasnąć i zapomnieć — albo nie: wyrwać się z tego miasta i gdzieś na uboczu stworzyć choćby kawałek życia takiego, jak te najlepsze, bezpowrotnie minione dni, jak te wizje teraźniejszości, wolne od przypadku i nudy, piękne jak dzieła sztuki w swej koniecznej harmonji, a jednocześnie lotne w dowolności i fantazji jak puszki kwiatów pędzone wiatrem nad łąkami”. Ale nieubłagane spojrzenie z boku odkryło śmieszność formy tej myśli i własne jego słowa ukazały mu obraz jego samego, przykucniętego ze spuszczonej spodniami, przy jakiejś piaszczystej drodze wiejskiej. Gorzko się roześmiał. Niedostępność, dalekość wszystkiego męczyła coraz okropniej.

— Czego pan tak nagle zbaraniał, panie Taziu? — zabrzmiał w zupełnej pustce głos Heli, jak pierwszy wystrzał jedenastocalowej haubicy o letnim, cichym świcie. — Opupieł, czto li? — powtórzyła łagodniej. Atanazy zbudził się jakby ze snu. Z szaloną, niezmierną szybkością przywiał go jakiś wicher z nieznanych krajów i postawił tu, w pokoju tej znudzonej bogactwem żydóweczki.

— Nie mogę czytać Prousta — rzekł nagle, siadając obok niej na kanapie. W odległym pokoju zatrzasnęły się drzwi.

— Azalin dekampuje nareszcie — rzekła Hela i przekreśliła niecierpliwie kontakt lampy. Blade, mleczno-pomarańczowe światło zalało pokój, urządzone z przesadną, nieprzyjemną prostotą.

— Czyż na to — mówił dalej jak automat Atanazy — aby co 20 stron przeczytać jakiś aforyzm, lub wogóle takie powiedzeńko o życiu, którebym, przyparty do muru, i sam mógł wykombinować, czyż na to muszę przestawać z tą całą bandą snobistycznych durniów i słuchać nadmiernie detalicznych opisów ich nieciekawych stanów i myśli, podanych w formie równie nieciekawej? Te zdania na pół stronicy, to wałkowanie i różniczkowanie pospolitości i głupoty aż do

obrzydzenia. Arystokracja była kiedyś czemś — z tem się zgadzam — ale dziś, poza pewnymi fizycznymi czysto własnościami, nie różni się zasadniczo od jakiegokolwiek innej kasty. A może nawet więcej znaleźć można w niej puszących się półgłówków niż gdzieindziej — pomaga im w tem tradycja, a dane mają na to te same co wszyscy. Procent ludzi wyjątkowych rozmieścił się teraz równomierniej. Ten cały Proust dobry jest dla snobów, nie mogących się wcisnąć na pańskie pokoje, a nadewszystko dla ludzi, mających nadmiar czasu. Ja czasu nie mam...

— Nie widzę tego — szepnęła Hela przez zaciśnięte zęby. — Czy w tym celu wyrzucił pan Kubę, aby mi to właśnie powiedzieć? Sam jest pan podświadomym snobem...

— Poszaleli wszyscy z tym przeklętym Proustem. Irytuje mnie to do najwyższego stopnia. Odniosłem pani książki. Zapomniałem na dole. I co najdziwniejsze, że ludzie skądinąd inteligentni i niepozbawieni smaku... Albo ten Valéry! — Choć co do Prousta zgadzamy się przypadkowo. Nie przeczę, że Valéry jest to człowiek inteligentny i wykształcony — szczególnie obkuty jest fizyką — ale nie widzę w nim — poza poezją, rzeczywiście niezwykłą i bardzo intelektualną — nic tak bardzo nadzwyczajnego. Swoją prywatną metodę tworzenia, przy wybitnej pomocy intelektu, chce rozdać do rozmiarów absolutnej prawdy, lekceważąc artystyczną intuicję i twórców bardziej wizjonerskich, apokaliptycznych. Wszystko zależy od proporcji danych: od poczucia jedności konstrukcji pierwotnej, od bogactwa świata wyobrażeń i myśli, intelektu i talentu — to jest czysto zmysłowych zdalności. A przytem nie lubię tych, co dopiero po wojnie przekonali się, że z ludzkością i kulturą wogóle jest niedobrze. Ja wiedziałem o tem dawniej.

Demokratyzacja...

— Megaloman! Dosyć!!! Nie zniosę dłużej tych rozmówek. Czy powie pan nareszcie o co panu chodzi? POCO pan dziś właśnie przyszedł? Dzisiejszy dzień jest dla mnie zasadniczy. A zresztą co mnie to obchodzi. Kuba napewno przyśle panu świadków. Sprawa z panem da mu możliwość zatarcia tamtej historii z Chwazdrygielem, która, mimo, że się skończyła honorowo, rzuca pewien cień z przeszłości. Przyszle, aby mnie zaimponować...

— Teraz ja powiem: dosyć — albo zacznę znów mówić o Prouście.

— Więc co właściwie? Jestem bardzo zdenerwowana. Popsuł mi pan moją decyzję. Czuję, że ukrywa pan przedemną coś ważnego. Przecież jesteśmy

przyjaciółmi?

— Właśnie to jest najgorsze, że nie jesteśmy. Ale cały urok sytuacji polega tylko na tem.

— Proszę bez pozy, panie Atanazy: ja się na tem znam.

— To nie jest poza. Jestem zaręczony.

— Pan chyba oszalał — rzekła, po dłuższej pauzie, Hela. — I z jakich to powodów? — spytała po chwili, a w głosie jej zadrgał poprzednio maskowany żal.

— Kocham — odpowiedział twardo Atanazy, pochylając się nad jej niezwykle wąskim, a jednak nie śpiczastem, kolanem, wystającym z pod zbyt krótkiej sukni. — Nienawidzę tego słowa, ale tak jest.

— Kocha, biedactwo! Kiedyż pan zdołał popełnić to szalone głupstwo?

— Dziesięć dni temu. Ale wisiało to nademną od pół roku.

— I nic mi o tem nie powiedzieć! Kto jest ona?

— Zosia Osłabędzka.

— To znaczy, że się pan przynajmniej trochę obłowi.

— Przysięgam pani...

— Wiem: bezinteresowność. Ale niech się pan strzeże: ma pan 28 lat i jest pan niczem, dość interesującym niczem: przekrojem pewnego typowego stanu pewnej warstwy społeczeństwa.

— Chce mnie pani przewyciężyć w dość tani sposób...

— Ani myślę. Ale skutek ogólnej wzrastającej gorączki życia w naszych czasach, a specjalnie po wojnie, wiek szaleństwa dla mężczyzn, dotychczasowa czterdziestka, został przesunięty na kilka lat wcześniej. To jest szaleństwo z pana wewnętrzną strukturą niedoszęłego artysty wpakowywać się teraz w małżeństwo. A przytem resztki sumienia, raczej sumieńka, które ma pan jeszcze. Zwarjuje pan napewno.

— Co kogo to obchodzi, choćbym nawet kark skręcił. Jestem sam. Tak: ma pani rację: jestem niczem i dlatego właśnie mogę sobie pozwolić na eksperyment, na który jakiś ktoś pozwoliłby sobie nie mógł. A jednak mimo wszystko boję się: boję się samego siebie. Nie wiedziałem dotąd kim jestem. Coś się odłoniło, ale jeszcze nie wiem wszystkiego. Ach — nie o to chodzi — a może o coś, co jest z tem związane: metafizyczny sens życia bez religji.

— Bez tych tajemniczości. Nie lubię sztucznej komplikacji. Pan nie ma prawa mówić o religji. Zaczynam żałować, że nie ośmieliłam pana do tego stopnia, aby

się pan mnie właśnie oświadczył.

— Wiedziałem, że tak będzie. Co zaś do ośmielenia, to przecież zdaje się dosyć...

— Głupi pan jest: ośmieliłam pana do pocałunków, ale nie do oświadczyn. Chyba pan jeszcze nie wie kto jestem...

— Wiem. Wiem też kim jest ojciec pani. Słyszałem o wszystkich pani konkurentach: tutejszych i zagranicznych:

hrabia de La Tréfeuille, ksiązę Zawratyński...

— Nie odbiegajmy od tematu. Co dalej?

— Otóż względna zamożność mojej narzeczonej jest dla mnie raczej przeszkodą do małżeństwa. Ale pokonałem ten problem na tle rzeczywistości uczuć. Na małżeństwo dla pieniędzy jestem za ambitny. A do tego nie wiedziałbym nawet jak ich użyć.

— Jeszcze. Jabym odzwyczała pana od wszelkich ambicji.

Sam stręczyłby mi pan kochanków za pieniądze.

— Dosyć: to jest wstrętne.

— Ach — co za niewinność! Skromny narzeczony nie może słuchać takich zdrożności. Zgłupiał pan do reszty w tem narzeczeństwie. No — niech pan się nie obraża i mówi dalej. — Atanazy przewyciężył obrzydzenie i brnął w wymuszoną sytuację.

— Otóż, zanadto kocham się: na tem polega moja tragedia.

— Hela obróciła się ku niemu całym ciałem.

— A ona?

— Nic: kocha mnie — tak, jak zwykle panny w tym wieku kochają swoich narzeczonych. Ale nie o to chodzi: ja już nie mogę wytrzymać.

— A kiedy ślub?

— Ach — pani jest cyniczna. Nie mogę wytrzymać samego faktu zakochania się w tym stopniu, a nie jakichś głupich pożądań. Pani podoba mi się tysiąc, nieskończenie razy więcej, niż ona.

— Więc czemu nie mnie....? — rzekła prawie ze łzami: Atanazy zaczynał nabierać dla niej uroku czegoś utraconego.

— Sama pani powiedziała: dla dokonania tego nie byłem jeszcze dość ośmielony. A zresztą nie kocham pani i kochać bym nie mógł. Przeraza mnie pani rasa, a jednocześnie pociąga ze straszliwą potęgą...



— Ach, co za osioł: stracić taką sposobność! — zupełnie szczerze powiedziała Hela. — Ten żebrak, idący na małe utrzymanie do tak zwanej cnotliwej panienki z dobrego domu, mnie śmie mówić o rasie! Ja panu zabraniam się żenić — rozumie pan?! Nienawidzę tej pańskiej... Atanazy zakrył jej twarz prawą ręką, przeginając ją jednocześnie lewą w tył, chwyciwszy jej lewe ramię od tyłu. Gniótł brutalnie coś niewidzialnego nie czując już prawie nic ludzkiego w sobie. „Takie muszą być w takich chwilach zwierzęta” — pomyślał w jakimś ułamku sekundy. Nagła złość zmieniła się znowu w nieznośne, rozwlekłe pożądanie i to nieznanego gatunku. „A jednak czy to nie jest właśnie najistotniejsze?” Puścił jej twarz i wgrzył się w jej mięsiste, chłodnawe jeszcze wargi, łakomie, bezprzytomnie, a jednak z całą świadomością bestjalskiej rozkoszy. Wyrwała mu się uderzywszy go pięścią od dołu w kość mostkową.

— Czy pan już zawarł? Więc na to się pan zaręcza z inną, aby potem przychodzić mnie obcałowywać? To już nie jest perwersja — to zwykłe, ordynarne świństwo. — Atanazy przez dłuższą chwilę nie mógł złapać tchu.

— Nie — pani mnie nie rozumie. Mimo wszystko pani jedna może mnie uratować. Gdyby pani inaczej postępowała, możebym właśnie z panią.... — mówił, dysząc ciężko.

— Nigdybym nie była pańską żoną. Zamało dobrze jest pan urodzony i wychowany. Pan jest nędzarz. Koło pana jest ta atmosfera biedoty, która na nic sobie pozwolić nie może. Mógłby pan być co najwyżej jednym z moich kochanków i to koniecznie jednocześnie z którymś z pana przyjaciół.

— Potem mi to pani wszystko opowie — teraz niech pani słucha: ja ją tak kocham, że jeżeli to dłużej potrwa, nie wiem co się ze mną stanie. To jest ta piekielna wielka miłość, która zdarza się raz na tysiące lat na jednej planecie.

— Nigdy więcej nie chcę od pana o tem słyszeć...

— Podoba mi się pani, jak nikt dotąd i wiem, że nikt tak podobać mi się nie będzie: Właśnie taka, jaka pani jest: bogata, ordynarna, żydowska chamka. Pani jest wcieleniem, tajemnicy wschodu na blond z niebieskiem, jest pani jedyną istotą, z którą chciałbym mieć syna — ten nie byłby degeneratem.

— Ach — czemu nie jest pan francuskim hrabią. Tak nie udali mi się ci zagraniczni konkurenci. Po panu jeden Kuba podoba mi się naprawdę, ale nim pogardzam trochę.

— Musi pani być moją mimo, że nie mam tytułu. Gdybym zdradził ją z kimś innym, to spotęgowałoby tylko wszystko. Pani jedna przez tę swoją djabelską,

hetycką urodę, doprowadzoną do ostatecznego wykończenia, może być dla mnie antidotem.

— Jestem dziewicą, panie Anatazy — rzekła nagle zupełnie innym tonem Hela. Było w tym coś dalekiego, jakby jakaś fala zamierzchłych wieków rozbiła się tu, w tym pokoju, jako słaby refleks szalejącej kiedyś, gdzieś w oddali, burzy.

— Wie pani, że nigdy o tem nie pomyślałem. Pieniądze pani stawiają panią ponad tym problemem.

— A więc tylko ze mną będzie to zdradą? Z inną nie — napewno? Ja pana rozumiem dobrze. Niech pan nie myśli, że ja jestem takie brutalne bydłę, na jakie pozuję — muszę pozować, bo inaczej...

— Więc pani się zgadza? — spytał bezmyślnie Atanazy i cała ochota zgwałcenia Heli rozviała się jak poranna mgiełka. Znowu uczuł chęć samotności. Nagle błysnęła w nim zła myśl: „To ona, Zosia, zmusza mnie do tego. Nienawidzę jej za to, że muszę ją aż tak kochać”. W tej chwili z przyjemnością zbiłby ją batem do krwi. „Anielskie bydłatko, czysty duszek. Boże! — za co ja kocham tak okropnie ten kawałek anemicznego mięsa z zielonemi oczkami” — jęknął prawie i w tej samej chwili ujrzał tuż przed sobą błękitne, ukośne oczy Heli i krwawe, nagle napęczniałe, szerokie jej usta. Uczuł zawrót głowy i dzika żądza, straszniejsza od wszystkiego, co czuł dotąd kiedykolwiek, włącznie z wrażeniami od huraganowego ognia ciężkiej artylerji, szarpnęła całym jego jestestwem („jelitestwem” = miękkie, krwawe aryjskie flaki stanęły dęba jak spiętrzana fala nad otchłanią czarno-czerwonego, żydowskiego, duszącego, złowrogiego czegoś — czego, nie wiedział). Sytuacja była zaiste złowroga. „Verhängnisvoll — Friedrich Nietzsche — Jenseits von Gut und Böse — Schicksal — Sasza Schneider — męski, belzebubi demonizm brodaty, wogóle obrośnięty — tylko to jest coś warte — bezpośrednio przeżywanie”. Szereg tych asocjacji przerwał mu jej dawno znany, z tamtej „popojki”, pocałunek.

— Czy chcesz zupełnie, czy mogę cię tylko całować? — wybełkotał na przekór tym myślom.

— Rób co chcesz! Nie pytaj! Kanalja! Idjota! Niedołęga...! — posypały się wyzwiska. Najwyraźniej Hela starała się podniecić do wyższych natężeń szału. Chwycił ją za bezwładne bezkształtne jakby ramiona i gniotąc ją z całej siły w bydłęcej wściekłości, wpił się bezświadomym rozkoszy pocałunkiem w jej wargi. A już za chwilę rozpoczęły się tak dobrze znane, a jednak zależnie od nowego obiektu wiecznie nowe świadome erotyczne przyjemności. „Czyż nie byłoby

prawdziwym szczęściem trwać ciągle w tym stanie bydlęcej bezświadomości: być bykiem, wężem, a nawet owadem, czy też dzielącą się amebą, ale nie myśleć, nie zdawać sobie sprawy z niczego..." zdążył jeszcze pomyśleć Atanazy, a zaraz potem: „A każda bestyjka inna” — szepnął w nim jakiś głos słowa Kazia Norskiego z „Emancypantek” Prusa. „Przereklamowana przyjemność” — przypomniało mu się zdanie Chwazdrygiela, bijologa ze szkoły Loeba. „Nie — nie przereklamowana — tylko zbyt długie pożycie z jedną kobietą pociąga wzrastanie przewagi elementów onanistycznych erotyzmu, na niekorzyść prawdziwej dwu-osobowej płciowości: to wspólne babranie się w wysublimowanym świństwie, ten urok dwoistej nieprzyzwoitości — wszystko to zatracą się powoli we wzajemnym do siebie przyzwyczajeniu. Samotne, mimo obecności drugiej strony, dopingowanie się myślowe, zastępujące rzeczywiste podniecenie, wybitnie przypomina samogwałtowe przeżycia, znane tak dobrze z dzieciństwa, a nawet niestety i z czasów późniejszych”.

Wsysał się coraz gwałtowniej w usta, które dopiero teraz naprawdę ustępowały powoli naciskowi jego warg, zębów i języka. Rozłaziły się całe, zamieniając się w mokre, gorące bagno nieprawdopodobnej lubieży, powiększały się do niemożliwych rozmiarów, były czymś jedynie rzeczywiście istniejącym. Język Heli wysunął się z tej śliskiej, mięczakowatej masy jak płomień, dotknął jego warg i języka i zaczął się poruszać, drażniąc do obłędu jego usta... Rozkosz, rozlewająca się po całym ciele, zdawała się dochodzić już do szczytu, a mimo to nasilała się coraz bardziej, do nieznośnej, z bólem graniczącej potęgi. Dotknięcia tego świadomego jakby swego działania języka czuł wszędzie: w grzbiecie, w lędźwiach i tam, gdzie miljardy istot z niego poczętych rwały się do życia, nie zwracając uwagi ani na jego wielką miłość, ani sens jego istnienia, ani na całą metafizykę. W ciemnościach ciała, w obrzmiałych gruczołach, na stacjach węzłowych skomplikowanych dróg nerwowych — wszystko parło z żywiołową siłą ku jednemu tylko celowi: jedyną zapłatą okłamywanego ducha była tylko nieludzka rozkosz, która go niszczyła, dając mu bezświadomość chwili.

Sam brak semickiego, mdłego, jakby trochę stęchliznowatego zapachu, który tyle razy zniechęcał go do różnych mniej czystych żydóweczek, doprowadzał go już do szału. Ślina była pachnącą jak świeżo połamane gałązki młodej brzozy, przygrzane majowem słońcem. Usta jej zdawały się coraz bardziej nieznanne, niepodobne do tych, które kiedyś po pijanemu całował. Spojrzenie lubieżnie zamglonych, a jednak zimno obserwujących go ukośnych niebieskich oczu Heli, podniecało go aż do niesamowitej złości, bijąc mięsistą, stwardniałą żądzę jakby

cienkim, drucianym batem. Czuł się w jej władzy zupełnie. „Nic mnie z tego nie wyrwie. Zginałem” — myślał z przewrotną przyjemnością okrucieństwa wobec samego siebie. „Rozkosz zatracenia — czyż jest coś piekielniejszego”. — Nawet nie chciał w tej chwili zgwałcić jej — istotniejszym było to ponure poddanie się męczarni nienasycenia. Nagle drgnął od rozkoszy, przechodzącej jego pojęcie o rozkoszy wogóle. Na tle jej spojrzenia tamto dotknięcie było czemś nie do zniesienia: złość, nienawiść, rozpacz, żal czegoś utraconego na zawsze, nieuleczalna choroba, zapomniana cudownie piękna muzyka, dzieciństwo i czarna, dysząca bezrękami i beznogiemi kadłubami czegoś — żywych okropnych rzeczy, nie stworów — przyszłość i drgawka rozpaczliwego wydzierania się w jakiś odmienny byt, w którym ból nieznośnego rozdrażnienia nasycił się dzikim wytryskiem nieziemskiej, już nie-zmysłowej rozkoszy. Jeszcze jedno drgnięcie i ujrzał wszystko, dosłownie wszystko, jakby w straszliwie jasne sztuczne południe oglądał całość bytu, jaśniejącego w promieniach jakiegoś bezlitosnego djabelskiego reflektora na tle czarnej nicości. „Zmarnował wszystko” — pomyślała Hela i poczuła nagły wstręt do Atanazego i jego uścisków.

— Nie myślałam, że za pierwszym zaraz razem zblamuje się pan tak fatalnie — posłyszał Atanazy jej głos, jakby z przeraźliwej dali, wśród kręgów rozedrganych zamierającej przyjemności — już nie rozkoszy.

— Och — pani nie wie czem to było dla mnie. Ja nie żałuję, że stało się tak właśnie.

— Zosia widać nie zamęcza pana miłością — szepnęła Hela ze smutnym cynizmem, gładząc go z litością po rozpalonej, pękającej głowie. Atanazy był piękny, ale miał głupi wyraz. Wypowiedzenie tego imienia w tej chwili wydało mu się wielkiem świętokradztwem, ale milczał, przygnieciony potworną wprost miłością do narzeczonej. Zwaliła się nań ona, jak lawina, jednocześnie prawie z zakończeniem tamtych rzeczy.

— Pomyślałam przez chwilę, że pan ją uwiódł i do małżeństwa jest pan zmuszany. Ale teraz widzę, że nie — zaśmiała się smutnie.

— Co panią obchodzi Zosia? Jest pani kobietą nie z tego psychicznego wymiaru — nie zrozumie jej pani nigdy — ani mnie nawet — dodał po chwili.

— Mówi pan tak, bo jestem żydówką. I mówi pan to dopiero teraz, dlatego, że chwilowo nasycił pan swoje głupie fantazje na temat zdrady i miłości i nasycił się pan mną. Jeszcze przed chwilą byłam dla pana żydówką ze znakiem plus — dlatego podobałam się panu...

— I podoba mi się pani dalej. Nie wiem czy potrafię bez pani żyć. Nic pani nie rozumie. Jestem w stanie katastrofy.

— Katastrofa pańska jest sztuczna. A jednak zmienił pan front. Jacy wy podli jesteście, goje — dodała ze wstrętem i pogardą. Naprawdę, dziwię się, że człowiek tak mądry, jak pan, nie rozumie właściwie nic a nic całego uroku naszej rasy tego posmaku tajemniczości wschodniej poprzez całe ghetto i to, co jest teraz. Ja sama dla siebie jestem niezrozumiała — kocham się w sobie, w tem czemś, co we mnie, dla mnie samej, jest tajemnicą. — Pierwszy raz, mówiąc te bezmyślne dziwności, „te dla bubków”, powiedziała mimowoli coś, co ją zastanowiło.

Tajemnica jej samej dla siebie mignęła przed jej wewnętrznym[1] widzeniem, w postaci deseni wybitnie seksualnie-nieprzyzwoitego, na tle jej codziennej, rodzinnej, domowej osobowości. Ale rozmowa, tak zwana „istotna”, nie dała się już nawiązać. Na krótko zaspokoił Atanazy swoją żądzą tamtem muśnięciem. Znowu rzucił się do jej ust, jako jedyne ratunku przed narastającą komplikacją bełkocząc jakiegoś niesmacznego zaprzeczenia. Upajał się znowu programem świństwem, jak ohydny narkotykiem. Hela poddawała mu się obojętnie, obserwując jego szal z zimnym tryumfem. Ale tem, czem był dla niej dawniej: nierozwiązanym problemem, zagrządzającym jej dalszą drogę, być przestał. Nie rozumiała teraz jak mogła się nim na serjo zajmować. Całował ją Atanazy wszędzie i tam... O mało nie zemdlał od subtelnego, a jednak potwornego, niesamowitego zapachu jej ciała i jeszcze raz doznał najwyższej rozkoszy, nawet bez jej czynnego udziału. Ale na gwałt nie mógł się już zdobyć. Aż wreszcie zerwał się z kolan i bez słowa zostawił ją samą.

— „Histeryk” — pomyślała z niesmakiem Hela i nagle Atanazy znikł poprostu z jej świadomości. Zagłębiła się w siebie. Cały świat zakręcił się jakby w jakimś wybuchu świętego dymu; rozpoczęło się zwykłe nabożeństwo do niby nieznanego bóstwa, którym właściwie była ona sama.

„Jestem sama w sobie jedna i jedyna”. — „Jak wszystko inne i ten wąż czerwony, którego masz w sypialni i to pudełeczko z pastylkami — wiesz...” — szepnął głos tajemny, zwany jeszcze w dzieciństwie Azababrol — ale Hela nie słuchała go. Myślała dalej: „.....mogę zrobić co chcę: mogę się zabić — nie mam sumienia; to jest już szczęście, a jednak... Mogę nie istnieć, nie przestając żyć, jeśli zażyję tego.... Nie żyję naprawdę w tym świecie: jestem jak księżniczka syryjska, oddająca się w świątyni Asztaroth za parę miedziaków obcym przechodniom, aby zdobyć sobie prawo do posiadania jedyne go męża”. Upłynęła

chwila bezmyślna, a z rzeczywistości spadła pierwsza maska. „Jestem zwykła, nudząca się bogata panna, cierpiąca nad swoim żydostwem. Ambicja nie pozwala mi wybrać żadnego z tych zagranicznych durniów. Chodzi w tem tylko o przesuwanie mas pieniężnych na inne pozycje. Nie chcę o tem nic wiedzieć. Nikt mnie nie kocha, prócz ojca i Kuby — obaj nie odpowiadają moim wyobrażeniom. W ogóle taki człowiek jest niemożliwy do wyobrażenia. Chyba ten Tazio...” Pogarda, połączona z pewną lubieżnością, a nawet tkliwością, przemknęła w jej uśmiechu. „A jednak on umiałby, gdyby chciał...” — Na sekundę, zahamowane pragnienie zdławiło ją za gardło aż do łez. — „Chciałabym być księżniczką krwi; albo nie: tylko biedną hrabianką — oddałabym zato wszystkie pieniądze i ze skromnej pensyjki żyłabym w klasztorze dla dobrze urodzonych panienek”. Szalony żal, że tak nie jest i nigdy nie będzie, trwał przez chwilę, w postaci ciężkiej, rozżarzonej kuli, w górnej części jej brzucha. „Jestem nieszczęsnem, śmiertelnie znudzonym, żydowskim niczem. Czekam byle zewnętrznej sposobności, aby móc się zabić z samej nędzy duchowej. Chce mi się sankcji wyższych potęg nad mojem życiem. Ach — zdobyć siebie na nowo, aż od samego dzieciństwa”. Przypomniała się jej rodzinna tragedia: cudownie piękna matka, ze starego hasydzkiego domu (Hela była do niej podobna z domieszką belzebubicznej gęstości charakteru ojca), dzika, nieświadoma swojej choroby nymfomanka i potworna miłość starego Bertza, granicząca z obłędem. Śmierć matki i rozpacz ojca i poszukiwanie podobnej zupełnie kobiety. Teraz miał... jakież to wszystko wstrętne. „I ten analityczny, onanistyczny Atanazy, który mógłby już być takim, jakim był, byleby okazał choć trochę więcej duchowej siły. Czemu jej nie wziął po prostu, jak samiec samicę, czemu nie nakazał jej tego, aby była szczęśliwą, czemu nie kochał jej — ta wieczna maskarada ciał i dusz, pozamienianych przez jakiegoś złośliwego, zazdrosnego, starzejącego się złego ducha.

„Jestem nędzarką uczuć, żebraczką miłości — muszę uwierzyć w coś innego, niż moja żydowska wiara, muszę odpokutować wszystko, co było: oto jest właśnie to, czego szukam. Odpokutować i wyjść za mąż za tego biednego Prepudrecha. On jeden będzie moim absolutnym poddanym, kiedy już nie mogę znaleźć absolutnego władcy. Tak: pokuta, zdobycie zasług, dobroć — być dobrą bez żadnych do tego danych, to sztuczka godna mojej ambicji. Poświęcenie się dla jakiegoś wysokiego celu? Boże Jedyny! Skąd go znaleźć?” „Zostać komunistką” — szepnął znowu głos, ale inny. „Tak — ale nie zostając komunistką można to znaleźć jedynie tam, gdzie króluje ten niezwykły ksiądz Wyprztyk. I od jakich głupstw zależy czasem wszystko! Gdyby wtedy poddał mi się, zostałabym pewno

żydówką do śmierci". Zadzwoiła na służącą. „Coś musi się zmienić — inaczej znowu przyjdzie to straszliwe w swej mocy pożądanie śmierci i ja nie wytrzymam — a ja żyć chcę, — chcę zobaczyć co będzie dalej, jak w następnym feljetonie powieści...” Łzy zabłyły w jej rozszerzonych, wpatrzonych w nieskończoność, oczach. Czuła ponurość tak straszną, jak gdyby była już nędzną żebraczką w łachmanach, bez możliwości noclegu w zimie, jak gdyby już skazana była na dożywotnie więzienie i nigdy nie miała ujrzeć słońca na swobodzie. Patrzyła w życie i świat, jak przez brudną szybę, z za kraty okienka jakiegoś ohydneho klozetu. „Czemu? Przecież mam wszystko, czegobym tylko zapragnąć mogła? A gdybym w tej chwili była nawet królową wszystkich żydów świata, czułabym identycznie to samo”.

Weszła służąca Józia Figoń, (była nauczycielka z pensji) z minką przyplaszczonej aryjskiej myszki, przemykającej się po nieobjętych obszarach wrogiego, żydowskiego bogactwa; przysunęła się do „Jaśnie Panienci”. Hela poczuła wstręt i złość i zazdrość. „Chwilami wolałabym być nawet tą..” Nagle, cała życiowość wszystkich tych problemów spadła z nich jak brzydka, ropuchowata skorupa: ułożyły się w innych wymiarach jako wcale interesująca łamigłówka pojęć. Zostało tylko absolutne, metafizyczne prawie nienasycenie, na którego zaspokojenie nie wystarczyłoby nawet wszystkich gwiazd i mgławic Mlecznej Drogi. „Świat jest jednym wielkim więzieniem”, pomyślała Hela i gwałtownie zapragnęła katolickiego pogrzebu — ale wspaniałego, takiego, jaki miała niedawno księżna Mazowiecka. To przekonało ją ostatecznie o konieczności chrztu.

— Jutro przechodzę na katolicyzm, — rzekła głośno, tak, jak gdyby mówiła o jakiejś przejażdżce autem.

— Nie może być! Czemu, Jaśnie Panienko? — spytała Józia głosem poufnym. — Hela zwierzała się jej czasami ze swoich najtajniejszych myśli.

— A tak: pora pomyśleć już raz o zbawieniu tej nikomu niepotrzebnej mojej duszy. Przecież tylko u was można być wybawionym z tej piekielnej matni sprzeczności — odpowiedziała Hela, nagle zamyślona.

Józia ubrana była w ciemno-bordo sukienkę i cynobrowy fartuszek z taką koronką. Wogóle czerwoność przeważała w całym pałacu Bertzów: obicia ścian i mebli, dywany, a nawet specjalnie dobierane obrazy, miały jako zasadniczy kolor, czerwień we wszystkich możliwych odcieniach. W sali jadalnej, oprócz paru obowiązkowych martwych natur, o czerwonych częściach składowych, wisiało trzydzieści kilka kopji portretów samych kardynałów i arcybiskupów.

Była to jedyna oficjalna perwersja starego Bertza. Hela wychowana w czerwoności tej od dzieciństwa podzielała w zupełności gust papy.

— Ja jednak mam większy szacunek dla żydów, którzy nie zmieniają religii... — zaczęła Figoniówna.

— Józia nic nie rozumie. Tu niema na dnie żadnego interesu. Co innego, że papie może dogadza to w tej chwili, ze względu na jego afery z Włochami, ale ja jestem ponadtem. Chcę raz przestać kłamać i doprowadzić do końca to, co jest już we mnie rozpoczęte, a nawet w większej części zrobione: z całej mojej kultury jestem aryjką, mimo pewnych żydowskich narowów, Kłamstwo tej waszej wstrętnej, umiarkowanej demokracji, rozlane jest w mojej krwi na równi z żydowszczyzną — nic go ze mnie nie wyrwie. A demokratyczna ideologia, to dzieło czystych arjów. My chcielibyśmy królować, ale jako silny naród, nie przeżarty społecznictwem: Królować naprawdę: nad sobą i nad innymi, bez żadnych zabawek w rodzaju parlamentaryzmu — a jeśli nie, to staniemy się współczynnikami przewrotu socjalnego — dwie są tylko dla nas drogi.

— A cóż proletarjat żydowski.... — wtrąciła Józia.

— Zobaczylibyście ten proletarjat nie w waszej niewoli, a pod panowaniem naszych królów: żadnego cienia bolszewizmu niktby się w nim nie doszukał. Nasz faszyzm to byłoby coś dopiero wspaniałego. Żydzi są jedynym narodem, który ma jeszcze w sobie zdrowy nacjonalizm — tylko położenie nasze czyni z nas, mimo naszej woli, wybuchowy materiał: transformuje, raczej deformuje, naszą siłę w przestrzeni innej struktury.

— Jaśnie panienka zaczyna zaraz dywagować jak tylko wchodzi w nieswoją sferę kwestji społecznych. Niestety eksperyment, pokazujący jakby było, gdyby było całkiem

inaczej, jest niemożliwy, wobec tego... —

— Wobec tego, niech mnie Józia rozbierze i poda ten najczerwieńszy szlafrok. Ta manja czerwoności doprowadza mnie samą czasem do furji. A jutro proszę mi tu sprowadzić księdza Wyprztyka na 9-tą rano. Do południa cała rodzina musi być ochrzczona — inaczej strzelam się. Objad zjem w łóżku — dokończyła tonem złym. Po chwili siedziała już w czarnej wannie, wyglądającej na ponury sarkofag wśród jaskrawoczerwonych, błyszczących ścian łazienki. Ciało jej w tem otoczeniu miało lekko niebieskawy kolor; mokre, po zimnym prysznicu włosy, oblepiając ściśle, wydłużoną, jajowatą głowę, połyskiwały zielonkawo. Nowa fala pogardy dla Anatazego zalała jej smutne, złe i zmęczone serce. Na tle tem, Prepudrech



zarysowywać się zaczął jako coś oczywiście nieudanego i niedociągniętego, ale w pewnym znaczeniu identycznego przynajmniej ze samem sobą. „Jest takim, jakim jest — nie udaje niczego ponad siebie. Wiem, że jeśli uderzę go w brzuch, nie ucieknie do swojej hyperkonstrukcji, w której to uderzenie w brzuch przetransportowane będzie na uderzenie w tak zwany „metafizyczny pępek” — wstrętne pojęcie! — Widmo, chowające się za materac, jest ten cały Bazakbal. I czemu to takie nic jest właśnie czemś dla mnie?” — piekliła się coraz więcej, uderzając rękami w powierzchnię wody. W ciszy,

przerywanej pluskiem, zadźwięczał dzwonek u drzwi ostatniego saloniku,

— Jeśli to książę pan, proszę poprosić do buduaru. Będę dziś spała z nim: na złość wam wszystkim. Rozumie Józia? — krzyknęła do Figoniówny, stojącej nieruchomo przy piecu.

— Słucham Jaśnie Panienkę — zabrzmiał jak amen głos Józia i jak zapadający wyrok trzasnęły zamykające się drzwi. Po paru sekundach bez pukania wszedł do łazienki Prepudrech. Oczy miał rozszerzone, twarz bladą i z trudem chwycił powietrze wyschniętymi ustami.

— Dlaczego włączysz tu nieproszony? — krzyknęła ostro Hela, jednak bez cienia zażenowania.

— Bo tak mi się podoba — odpowiedział książę, sztucznie tytanicznym głosem.

— Kuba: nie udawaj Bazakbala, bo ci się to nie uda — ośmieszasz się tylko — to mówiąc opryskała go wodą, przypomniawszy sobie, że tak postąpił Napoleon z Neyem, kiedy ten odwiedził go w łazience po powrocie z Waterloo.

— Przede wszystkim proszę raz na zawsze o nienazywanie mnie Kubą — odpowiedział, ocierając się Prepudrech. Już posłałem mu świadków: Łohoyski i Miecio Baehreklotz. Wiem, że jestem urodzonym tchórzem i że za takiego mnie pani słusznie uważa. Ale odwaga — mówił dalej, obejmując dzikiem, beznadziejnym spojrzeniem ciało Heli, zdeformowane przez załamanie się w wodzie — nie polega na tem, żeby się nie bać wcale, tylko na opanowaniu strachu.

— Jednym słowem, im większy strach, tem większa odwaga...

— Wie pani dobrze, o czym mówię. Jest pani za inteligentna na to, aby tego nie rozumieć. Te dziewczynkowate dokuczania są nie na miejscu.

— No dobrze, Aziau: uspokój się. Nie jest jeszcze tak źle, jak myślisz. — Prepudrech zmięknął odrazu. Nie miał jednak siły, aby uwierzyć w to, co mu w przedpokoju powiedziała Józia o oczekującej go nocy. Przekupienie służącej w domu Bertzów nie należało do rzeczy łatwych, a jednak czynił to od dłuższego

czasu, poświęcając na ten cel jedną trzecią swoich dochodów.

— Chodziłem tu pod oknami, oczekując jego wyjścia. Nie robię pani żadnej sceny, ale jednak to jest potwornie. Proszę o odpowiedź: tak, lub nie.

— Nie — odpowiedziała Hela tak prosto, że musiał uwierzyć.

— A tamto czy prawda? — spytał, drżąc cały z niepewności i oczekiwania.

— Już ci powiedziała ta plotkarka, Józia?

— Tak — jęknął prawie. — Nie żartuj: może to ostatnia, jedyna istotna chwila w mojem życiu...

— Prawda. Jestem straszliwie samotna i nieszczęśliwa.

Oddam ci się dziś. Wierzysz chyba, że jestem dziewicą?

— Ach, Helu: zaklinam cię... Jestem szczęśliwy... Ale nie rób tego: nie tak programowo... To odbiera mi całą moją siłę...

— Boisz się skompromitować z nadmiaru szczęścia? Nie bój się: ja ci na to nie pozwolę. Jutro przyjmuję chrzest. Pierwsza i ostatnia noc grzechu, a potem pokuta narzeczeństwa.

— Czy naprawdę zechcesz wyjść za mnie, jeśli nie zginę?

— To będzie zależeć od dzisiejszej nocy. — Zaśmiała się bezwstydnie... Rzucił się na nią i wyciągnął ją z wody mokrą, gorącą, oblepiającą mu twarz wilgotnymi, chłodnymi włosami, które już zaczynały skręcać się w naturalne loki. Zawłókł ją, odurzoną tym gwałtem, do purpurowej sypialni. Tam czekał już na nich obiad. Ale nie mieli czasu na jedzenie. Księcia Prepudrech ogarnął jakiś złowrogi szal. Miał bezwzględne przeczucie, że zginie i używał ostatnich chwil życia z ponurem zapamiętaniem. Cykanie zegara, wprawionego w brzuch hebanowego papuaskiego bożka, biczowało z okrucieństwem równomierności pędzący coraz szybciej jego osobisty czas. Koło dziewiątej leżeli zupełnie już wyczerpani, przygotowując się wewnątrz do drugiej części nocy. Ktoś zapukał do drzwi sypialni w chwili, kiedy Hela Bertz własnoręcznie odgrzewała na elektrycznej maszynie, wyziębły dawno obiad, a raczej jego część pierwszą: zupę z czerwonych marmontijów i pasztet à la Trémouille z wątróbek gandyjskich trywutów, zaprawionych sosem wynalazku samego Waterbrooka. W zamroczonym umyśle Prepudrecha, przyszłość skłębiała się w mroczną piramidę niesłychanych bogactw, których nigdy już nie miał nawet oglądać. Piramida ta malała chwilami, zamieniała się w czarne, skręcone kółeczko, jakiś przypalony, bolesny skwarek, pod wpływem uczucia kłójącego strachu. Męczyło go, że strach ten był małym, wobec pozornie nieskończonych obszarów

niepełnionego życia. Brnął przez jakieś pustynie absolutnego bezsensu, krwawiąc nieznośnym umęczeniem: śmierć z torturami (psychicznymi na razie) zaczynała się już powoli, wbrew niemożności jej pojęcia stawała się codzienną rzeczywistością. „Och — czemuż wymigałem się od wojny”, pomyślał. „Strach byłby wtedy wielkim, gdyby...”. Ale w tej chwili poczuł, że jest to kłamstwem: małość strachu i proporcjonalna do niej małość odwagi była w nim samym, Azalinie Belial-Prepudrechu, a nie w wypadkach, które ten jego strach wywoływały.

Krzążąca się (tak jest: krzążąca się) koło stołu Hela, której niebieskawe ciało — to, które posiadał poraz pierwszy przed chwilą — (nie mógł w to jeszcze uwierzyć) — wydała mu się kapłanką, odprawiającą jakieś nieznanne żałobne nabożeństwo nad jego trupem. Czuł się już martwym, mimo wzbierającej w nim na nowo żądry. Sprzeczność ta dawała w rezultacie tępy, prawie wyłącznie moralny (!!)

ból w dołku. Ten przeklęty ktoś zapukał poraz drugi.

— Włóż prędko moją piżamę — to papa — rzekła spokojnie Hela, nie przestając zajmować się obiadem.

— Jakto? Chcesz go tak przyjąć — spytał zduszonym szeptem książę. Nagle strach przed starym Bertzem zasłonił mu, częściowo przynajmniej, „obawę pojedynku”. — Ach, prawda! Wszystko jedno: przecież jutro zginę i tak.

— Przestań krakać. Ubieraj się. Zaraz papo! — rzuciła we drzwi tym samym tonem, tylko głośniej. Spokój Heli wrócił mu równowagę. Za chwilę Azalin stał już w nieco za ciasnej, ciemno-różowej piżanie Heli, pod olbrzymią czarną szafą z czerwonymi lustrami, oczekując wypadków. Skrzyżował ręce na piersiach, przygotowany na najgorsze. Był naprawdę piękny. Jego uroda czarnego perskiego efeba, spotęgowana bladością i płciowym wyniszczeniem, które zaostriżyło mu rysy, jak u trupa, lśniła teraz, niby drogocenny kamień, w oprawie czerwonych szyb i czarnego drzewa. Lustro odbijało w ciepłym tonie jego białą, prześliczną, trochę kobiecą szyję. Hela spojrzała na niego przelotnie i poczuła dumę. Nie — nie dumę, raczej brak wstydu. „Gdyby oni z tym podłym Taziem mogli stanowić jednego człowieka! Może wtedy byłabym szczęśliwa...”, pomyślała i wspomnienie doznanej tylko co po raz pierwszy głębokiej, prawdziwej rozkoszy, rozlało się po jej ciele falą omdlewającego gorąca, by zaraz sprężyć się w giętką, nieznaną jej dotąd siłę. Teraz dopiero pojęła potęgę i władzę nowo zdobytej, pełnej kobiecości. Ale jednocześnie, oprócz litości jakby i zewnętrznego uznania dla księcia, zjawilo się w jej pustym dotąd sercu coś głębszego: przez chwilę patrzyła na niego, jak na

coś w rodzaju syna, a potem Bazakbal, ale też inny już, przemknął się jako widmo w dalekim tle. „Tamtego będę miała też i tamtych innych. Ale mężem będzie ten „synek”. Będę mieć wszystko, co zechcę”. Świat, stanowiący, mimo bogactwa, piękności i innych atrybutów wąską grań codzienności, otoczoną z dwóch stron przepaściami tajemnic, rozszerzył się nagle w wolną przestrzeń wichrowatych możliwości, zionącą nieznaną pięknnością, świeżością i jeszcze czemś... W głębi, jak widmo Bazakbala przed chwilą, ale w innej płaszczyźnie możliwych wydarzeń, przesunęła się śmierć. Cień złowrogi padł na śmiejący się widnokraj nieskończoności. Obraz Böcklina: „Siehe, es lacht die Au”: zakwefionej i zapłakanej postaci, pod czarnymi cyprysami, pokazuje inna jakaś figura słoneczny widok w oddali. „A jednak dobrze jest, dobrze jest istnieć”, pomyślała. Problem żydowstwa i aryjskiej kultury (nie wiedziała nawet dobrze co to jest ta aryjska kultura) przestał ją męczyć.

— Proszę — rzekła dźwięcznym, niewinnym głosem. Prepudrech drgnął: poraz pierwszy zrozumiał, że ją kocha (dotąd właściwie nienawidził ją). I całe bezmyślne dotąd jego życie przesunęło się koło niego piekącą falą wstydu. Poczuł, że ona jako kobieta jest jednak kimś, a on tylko nędzną do niej przyprzążką. Skurczył się w sobie, jak do skoku: skoku przez życie całe, przez samego siebie. Ale obraz pojedynku przesłonił mu przyszłość, brudną, szarą ścierką. „Oto mój pierwszy czyn”, wypisało coś przed nim zdanie prawie bez sensu. Litery w innym wymiarze ducha, jak we śnie: bezprzestrzenne i bezbarwne, stały nad zgniłą marmeladą dawnej, niezupełnie honorowo załatwionej sprawy. Cóż znaczył pozytywny protokół, kiedy sumienie i spojrzenia świadków mówiły co innego. Poczuł się — jak Bazakbal przed paroma godzinami i jak wszyscy zresztą czasem — wystrzelonym pociskiem, lecącym w niewiadomą dal bezwładnie.

Do sypialni wszedł papa Bertz, brodaty Książę Ciemności z obrazu Saszy Schneidera, (we fraku) i zdębiał na widok roztaczającej się przed nim nieprawdopodobnej rozpusty.

— Hela — jęknął. A potem z wściekłością: — Ty, ty... to książęco-perskie ścierwiątko — ja jego perskim proszkiem...! — Ten przyjemniaczkowy wypędek śmie...! — dusił się wprost od nieoczekiwanych wrażeń. — O Hela: jakże ranisz moje serce. Mam właśnie dla ciebie dwóch faszystów! Jeden jest prawdziwy włoski markiz! O — ja tego nie przetrzymam! — Padł na fotel, przymykając zbolące oczy.

— Panie Bertz — zaczął Azalin niby zimno, ale drżąc z oburzenia, graniczącego z najprawdziwszym strachem — markizów we Włoszech jest jak psów...

— Czekał, Aziu: przede wszystkim ustalić trzeba stan faktyczny — przerwała mu Hela. — Czy papa wolałby, abym już nie żyła?

— Tak, wiem. Znam to wszystko. Ty zawsze szantażowałaś mnie śmiercią. Ja cię kocham, ciebie jedną — jęczał bezsilny Belzebub w fotelu.

— To jest mój narzeczony. Zrobiliśmy amerykańską próbę. Jedynie on podobał mi się naprawdę. A kto wie: może ja go nawet w pewien sposób kocham.

— Ależ on jest niczem dla ciebie, jest takim samym niczem w moich najwyższych rachunkach. Notoryczny tchórz, z najgorszą opinią plutokratycznego lizogonka o podejrzanym tytule. Ja myślałam, że ty podtrzymasz wielkość domu Bertz.

— Panie Bertz — z prawdziwą dumą zaczął książkę. — Jutro biję się z Bazakbalem...

— Drugie nic. O, poco ja tę hołotę wpuszczałem do mego domu!

— Muszę być niedyskretnym, bo chwila jest wyjątkowa. Muszę też mieć pewne względy specjalne dla ojca mojej narzeczonej. Co zaś do mego tytułu to proszę zbadać genealogję książąt Belial-Prepudrech — rozdział o chanach w teherańskim almanachu. Jeśli nie zginę jutro, pojutrze ślub.

— Jaki ślub? — pienił się Bertz. — Czyś ty oszalał? A — wszyscy jesteście warjaci! Tem tylko mogę sobie to wytłomaczyć.

— Ślub katolicki, papo — wtrąciła z łagodną perswazją Hela. — Azalin jest katolikiem — matka jego jest baronówna Gnembe z domu, papo.

— Taka baronówna jak i on książkę. Ha — a tam tylu prawdziwych...! Nie — ja nie mogę... — Uderzył pięścią w poręcz.

— Panie Bertz: proszę nie obrażać mojej matki... — zaczął Azalin.

— Ja przyjmuję katolicyzm jutro — przerwała mu Hela. — I ty także, papo, zmuszony przez córkę. Honor twój jest ocalony, papo, a ze względu na interesy, zawsze mówiłeś, papo...

— Tak, tak — wykrztusił z siebie już uspokojony zlekka Bertz; słowo: „papo” działało nań jak morfina. — Ale jeśli ten bałwan zginie, to co?

— To nic. Nikt oprócz ciebie, Józi, mnie i jego o tem nie wie. Zażyłam zresztą odpowiednie proszki.

— Ale przyszły mąż... — głos uwiązł mu w gardle.

— No — z naszymi pieniędzmi nie potrzebujemy się zajmować takimi drobnostkami. A ty przyznaj się, papo, że męczy cię zupełnie zwykła zazdrość o

mnie: kochasz się we mnie podświadomie: kompleks córki. Inaczej byłoby ci wszystko jedno. Czy Lola Green przestała ci już wystarczać, jako antidot na kazirodcze uczucia? Jest podobna do mnie prawie jak bliźniaczka. Jedyne występy miała tutaj tylko. Płacisz jej potworne sumy. Wiem wszystko. Mam jej fotografię w mojej kolekcji erotycznych osobliwości obok mojej, twojej i mamy. Kompleks córki! Cha, cha, cha!

— Dosyć, dosyć z tym Freudem, bo jakkolwiek jest żydem, łeb-bym mu rozwalił z przyjemnością. Zawrócił w głowach nawet najmądrszym ludziom — nawet tobie, Hela. Czyż to, co tu widzę, nastąpiłoby kiedykolwiek, gdyby nie ten przeklęty Freud?!

— A teraz: albo papa się uspokoi i zje coś z nami, albo proszę opuścić moje pokoje. Biedny Azalin ma i tak już dosyć naszych rozmów na dzisiaj, a czeka go jeszcze druga część programu i ranny pojedynek.

— Daj mu się przynajmniej wyspać — rzekł stary łagodnie; ale zaraz nowa fala wściekłości przypląnęła mu z okolic dołku pod grdykę. — A łotr: żeby mnie tak podejść. Powinieneś być, kanaljo, mnie się wpierw oświadczyć, a nie gwałcić mi córkę, jak ostatnią dziewczkę w moim własnym domu! Rozumiesz, skurczyflaku?!

— Panie Bertz: bo jak się rozpędzę będę musiał wyzwąć pana także — rzekł już ze śmiechem Prepudrech. „Królestwo Obojga Bertzów”, jak ich nazywano, spojrzęło na niego prawie z podziwem.

— A róbcie sobie, co chcecie. Ja mam jeszcze dziś trzy posiedzenia! — krzyknął Bertz, chwytając się za głowę. Pozostał tak jakąś część sekundy, rozważając z niepojętą szybkością jakąś szaloną finansowo-polityczną kombinację i nagle wyleciał, nie żegnając się z nikim. A w pokojach córki jego rozpoczęła się znowu śmiertelna orgja, połączona z dziwnym żalobnym nabożeństwem za duszę konającego z wyczerpania, rozpacz i strachu księcia Belial-Prepudrech. Problem dziewictwa przestał istnieć dla Heli zupełnie. Przeszłość cała wydała się jej obca, należąca jakby do innej osoby. Nawet dzisiejszy wieczór z Atanazym był tylko opowiedzianem jej przeżyciem jakiejś znajomej, sympatycznej dla niej dziewczynki. Teraźniejszość nabierała miąższu, puchła w nieprzyzwoity sposób. Ale za tymi zwałami aż nazbyt realnych kawałów zmaterjalizowanych chwil dawnych marzeń, kryło się jakieś nikłe widemko z ubiegłych lat, aż z dzieciństwa: śmiertelny duszek, wysłannik zagrobowych, niezbadanych krain. „Tylko nie teraz... jeszcze... jeszcze...” myślała, zgrzytając zębami z niemożliwej do zniesienia rozkoszy. Książę, piękny jak „młody, djabelski bóg”, pięknnością

niepojętą i złowrogą, utożsamioną z zabójczą rozkoszą, stanowiącą z nią jedność, wypełniał ją (Helę) całą aż po zdławione gardło, aż „po za brzegi”, sycąc rozkraczoną aż do pęknięcia, wchłaniającą wszystko żądzę, coraz straszliwszemi uderzeniami „jakiegoś niepojętego wału”. Jeszcze chwila, a zdawało się Heli, że zwarjuje... Ach — i cały świat rozplątał się w jedno morze niewysłowionej, nieskończonej błogości. „I on był tem i ta twarz i tamto, to jego w tem...” Prepudrech z dzikim zachwytem wpatrzył się w wywrócone w ekstazie oczy kochanki. Miał pewność, że stoi teraz na szczycie życia — cóż mogło być poza tem dla niego, biednego dancingbubka? A jutro śmierć i koniec. A Hela, upojona świeżo doznaną przyjemnością, zdawała się troić, czworzyć, pięciorzyć i poczwierać w oczach, wydobywając z ciała nieszczęsnego efeba wszystkie ukryte zapasy sił życiodajnych i zapału. W międzyczasie, koło 12-tej, wierna Józia dała im dalszy ciąg obiadu: marchewka à la Tripolini, na specjalnem masełku, zrobionem z pewnych wydzielin nosorożca i pieczeń ze strusia w jajecznicy z jaj tegoż, z sałatką z mleczów australijskich, ślimaków z jeziora Nemi i okrągłych (rzadkość!) kronplajtów damasceńskich, przypiekanych uprzednio po brzegach metodą Whighta.

Nasytzeni tem, szaleli dalej, jak para skorpjonów, aż póki świt nie zaczął niebieszczyć w szparze między karminowemi firankami, zrobionemi z oryginalnego malajskiego humpolngu. Prepudrech ocknął się z omdlenia, poraz 11-ty oddawszy swojej narzeczonej skondensowany nabój swojej najgłębszej istoty. Przypomnił mu się epizod z czytanych w dzieciństwie „Popiołów” Żeromskiego: Księżniczka Elżbieta i Rafał i pomyślał, ile też razy stało się to z tamtą parą.

— Zapowiedziałem im, że do jutra, to jest do dziś rana, ma być wszystko gotowe, choćby całą noc mieli pracować — mówił Heli, nie mając jej nic lepszego do powiedzenia. Wogóle odczuwał czasem w jej towarzystwie haniebną pustkę w głowie i bał się tych chwil panicznie — wtedy to wymykała mu się ona najbardziej beznadziejnie — był bezsilny. Ale to poczucie intelektualnej niższości było jednym z masochistycznych elementów jego pożądania. — Chyba, że to zwierzę nie znalazłoby do rana świadków — dodał sztucznie nonszalanckim tonem.

— Jak to się odbyło? Nie mówiłeś mi nic o tem.

— Czyż chciałaś słuchać?

— Nie mieliśmy czasu. Czy może masz mi to za złe.

— Ależ nie. Kocham cię. Życ mi się chce tak strasznie. Ale muszę przejść przez

ten próg. Muszę stać się godnym ciebie. — Zaczął całować ją lekko i jakoś nieśmiało, czując w ustach swoich i w nosie drażniący smak i zapach niedawnych pieszczot. „Nigdy nie oderwę się od tego ciała”, pomyślał gorzko i cały świat wydał mu się małą pigułką w olbrzymich, wielkich właśnie jak świat, niesytych nigdy organach rozrodczych. One nie należały już do „świata” — był to byt innego „typu” w znaczeniu Russella, przy zastosowaniu pojęcia tego do rzeczywistości.

— W tym pośpiechu jest też twoja słabość. Musisz być silny — inaczej stracisz mnie. Pamiętaj... — mówiła już sennie Hela, z przymkniętymi oczami.

— Kocham cię. Muszę cię zdobyć naprawdę. Ty, ty! — uderzył ją nagle pięścią w ramię, zawierając w tym uderzeniu resztkę niewyciśniętej myśli.

— Dosyć. Nie rozdrażniaj się na nowo. Już musi być po trzeciej. Za 6 godzin przyjdzie do mnie ksiądz Wyprztyk. Muszę się przespać. Nie zapomnij zatelefonować zaraz po pojedynku. — Prepudrech rzucił się ku łazience i za chwilę wyszedł stamtąd świeży i silny jakby nic. Hela już spała. Była tak piękna, że z trudem powstrzymał się, aby nie wgryźć się w jej rozchylone usta. Skośne oczy, zasłonięte zmęczonemi, drgającymi powiekami, zdawały się rzucać nieprzyzwoity cień na całe jej ciało. Zapach... Ale dosyć: ani chwili czasu. Trzeba spać — choć godzinę. Ubrał się gorączkowo i minawszy puste pokoje wypadł na schody. Zdumiony portjer wypuścił go na ulicę, jak dzikiego zwierza z klatki. Książę był w tej chwili odważny. Ale czy starczy to na długo? Gnany tą myślą biegł prawie do rogu, gdzie stały senne automobile. Dzień wstawał mglisty: bury, ponury, ohydny, miejski dzień.

Atanazy wyszedłszy od Heli biegł także. Raczej, jeśli chodzi o czas, Prepudrech biegł jak Atanazy — ale to wszystko jedno. Wnętrznosci Atanazego rozpierała miłość do Zosi — straszliwa, nie do zniesienia. Pod wpływem „zdrady” (o nędzo!) coś zginęło na zawsze. Ale „inne coś”, może groźniejsze, bo sprzeczne, spotęgowało się do rozmiarów fizycznego prawie bólu. Co było to i tamto, jeszcze dokładnie nie wiedział. Nie było wszystko to razem ową dawną prawielitością, odczuwaną przez niego w stosunku do różnych pańienek, z którymi się zaręczał, by zrywać następnie wśród męczarni sprzeczności i wyrzutów sumienia. „Jest to coś niewyraźnego, tak nie podlegającego definicji, jak linja prosta — chyba, że do definicji zechcemy użyć obce geometrii, z innej sfery wzięte pojęcia”, myślał blado, przygnieciony nieznanym mu dotąd ciężarem czystego, jednolitego uczucia. Zapomniał prawie o Heli i o Prepudrechu. Wiedział napewno, że jeśli nawet wyzwie go „ten idjota”, jemu, Atanazemu, nic stać się nie może. Uczucie, które



rozsadzało mu system pojęć życiowych, jak dojrzały owoc łupinę, stanowiło, według jego zupełnie irracjonalnej intuicji, pancierz nie do przebicia dla wszelkich niebezpieczeństw. Absurdem była śmierć. „Śmierć nie jest w stanie zabić tej miłości, a więc i mnie”: w tak idjotycznym aksjomacie zamknął ostatecznie obecny stan rzeczy. „A jednak czy Freud nie ma przypadkiem racji?” Przypomniały mu się psychoanalityczne seanse z doktorem Burdygielom i wszystkie jego wmawiania rzeczy pozornie nieistniejących. „Może gdyby nie śmierć matki, nie mógłbym się w niej tak właśnie zakochać”. Mimo, że czuł jeszcze rozjątrzenie całego ciała od przewrotnej rozkoszy, którą dała mu tamta, Zosia jedynie („ta przeklęta Zosia”) była przedmiotem jego najistotniejszych pożądań. Teraz wiedział, że tamtą zwyciężyć może zawsze, choćby przy pomocy innej kobiety, ale to uczucie zlokalizowane właśnie w tym jądrze istoty, które „pępkiem metafizycznym” popularnie nazywał, wyrwać się niczem nie da. „To stopienie się pożądania w jedną nierozdzieloną masę z przeżywaniem tej samej — tak koniecznie tej samej osoby — nie innej — (Atanazy uśmiechnął się gorzko poraz niewiadomo który) — od środka, samej dla siebie — tak: to była definicja wielkiej miłości. To, co w kobiecie jest jednym u samego początku, u mężczyzny (o jakże wstrętne są te dwa słowa, które słyszy się ciągle we wszystkich towarzystwach, we wszystkich rozmowach grających na bałajkach oficerów z podejrzanymi mężatkami, służących z szoferami, księżniczek z mistrzami w boksie i tenisie) jest zbieżnością asymptotyczną czemś granicznym, nie dającym się nigdy połączyć w jedność absolutną. Siłą napięcia w kierunku zlania się tych elementów w granicy mierzy się wielkość..... O, jakie to wszystko wstrętne!”

Erotomanja rozprzestrzeniała się, jak lepka mgła, w zaczynającym się nocnym życiu miasta. Wszystko zdawało się być tylko maską, pokrywającą rozwaloną bezwstydnie płęć — wszystko: od szyldu na sklepie do teczki pod pachą i munduru — u nich, u mężczyzn. „One” chodziły bez masek, obnosząc w tryumfie tę swoją jedyną bezczelną wartość, akcentując nieprzyzwoitość obsesjonalnej myśli futrami, kapeluszami, pończochami, pantofelkami, „merezkami”,

„wstawkami”, „zakładkami”: temi wogóle kobiecemi „fintifluskami”, tem całym gałganiarstwem, „chiffonerie” — stop: nuda żurnalu mód i na drugim końcu to. I Zosia była jedną z nich... A jednak? Przypadkowość, „contingence” tego wszystkiego była okropna: „Jeszcze chwila, a napiszę wiersz”, pomyślał Atanazy ze wstrętem. „A nie, tego jednego mi nie wolno. Nie zostanę nigdy artystą, choć teraz to tak łatwo. Mogę zresztą pisać wiersze, ale jedynie z tem przekonaniem, że to jest nic. Minęły czasy metafizycznej absolutności sztuki. Sztuka była

dawniej, jeśli nie czemś świętem, to w każdym razie, „świętawem” — zły duch wcielał się w ludzi czynu. Dziś nie ma w kogo — resztki indywidualizmu życiowego to czysta komedia — istnieje tylko zorganizowana masa i jej słudzy. Od biedy zły duch przeniósł się w sferę sztuki i wciela się dziś w zdegenerowanych, perwersyjnych artystów. Ale ci nikomu już nie zaszkodzą, ani pomogą: istnieją dla zabawy ginących odpadków burżuazyjnej kultury”.

Niezbyt jasne i wymęczone myśli te przerwało Atanazemu wejście do bramy. Zaczynał się akt II-gi: należało jednak oczekiwać świadków „tego idjoty”.

Informacja: [Atanazy pochodził z średniej szlacheckiej rodziny. Ojciec jego protegował sztuki piękne w rodzinnym powiecie, ale synowi zabronił być artystą „carrément” i bił go srogo za najmniejszy rysuneczek, albo wierszyk. Matka bolała nad tem, ale po śmierci starego Bazakbala (kłopoty finansowe i alkohol) wychowała małego Tazia, (ze strachu przed duchem męża, którego podobno parę razy po śmierci widziała) w kierunku nadanym przez starego. „Metafizyczny pępek” tlił się w Atanazym stale, ale do „twórczości” nie doszło nigdy. I tak powoli został, sam nie wiedząc kiedy, owym aplikantem, myśląc ze strachem o przyszłej adwokaturze. Życie płynęło podwójnym korytem — to drugie, jak mówili niektórzy, było nie tyle rzeczne, ile świńskie. Ale opinja ta pochodziła od takich mamutów starodawnej cnoty, że naprawdę brać jej w rachubę nie można. Niedoszły artysta, zgnębiony na dnie, jak więzień na spodzie okrętu, dawał jednak czasami znaki życia. Codzienny dzień Atanazego nie był dniem zwykłych ludzi, ale wszystko to było ciągle nie to i nie to. Matka jego umarła na raka. Przyzwyczał się do myśli o tej stracie w czasie długiej choroby. Nawet rad był, że skończyły się jej męczarnie i nie cierpiał nad tem tak, jak to sobie dawniej wyobrażał. A jednak zmieniło się coś i Atanazy, notorycznie niezdolny do wielkiej miłości, zakochał się po raz pierwszy. Nie przyzwyczajony do uczuć o takim napięciu, miotał się wśród sprzeczności, jak ryba na piasku w upalny dzień. Na tem tle wyrosła bezecna idea programowej zdrady. Oto wszystko. Ale czasy nadchodziły inne i najzwyklejsze nawet istnienia wyginały się, przekręcały i deformowały, zależnie od zmiennej struktury społecznego środowiska.]

Na schodach spotkał Atanazy dwóch mężczyzn. Nie rozeznał ich w mroku, a rozeznawszy nie domyślił się o co chodzi, mimo, że przed chwilą o tem właśnie myślał.

— A to ty, Jędreku? Jak się masz? Dobry wieczór panu — mówił, pochylając się w kierunku drugiego z tych panów. Pierwszy był to Łohoyski, jeden z

oryginalniejszych hrabiów na naszej planecie (Ciekawa rzecz czy nainnych są też hrabiowie? Pewno tak, bo istnienie arystokracji jest czymś absolutnem: „eine transcendente Gesetzmässigkeit, jakby pewno powiedział Hans Cornelius, gdyby zajmował się w ogóle tym problemem).

— Stój! Nie zbliżaj się! — krzyknął ostro Łohoyski.

— Cóż to? Jesteście zarażeni? — spytał Atanazy i w tej chwili zorjentował się. „Więc to oni. Nigdybym nie przypuszczał”, — pomyślał i natychmiast postanowił poprosić na kontr-świadków, dwóch oficerów, bardzo mało mu znanych z jakiegoś balu. „Na złość temu błaznowi, który mi przysyła nieomal że mego przyjaciela. („A może nie tylko przyjaciela”, szepnął tajemniczy głos w nim samym). Drugim dżentelmenem był Mieczysław baron Baehrenklotz, karykaturzysta-amator i autor kabaretowych wierszyków.

— Jesteśmy tu w sprawie honorowej ze strony Azalina księcia Prepudrech — rzekł Łohoyski ze sztuczną oficjalnością, ale zaraz nie wytrzymał i parsknął krótkim, końsko-zdrowym śmiechem, szczerząc swe i tak już nienormalnie wystające zęby, z pod zlekka po polsku podkreconych blond-wąsów. Jego oczy, zielone, wypukłe, osadzone w cudownej piękności czaszce, łyknęły powstrzymywaną wesołością.

Informacja: [Był to wogóle wspaniały, rasowy dryblas, zbudowany jak grecka rzeźba. Pieniła się w nim dzika siła życia i chęć użycia wszystkiego za wszelką cenę. Mógł sobie zafundować żonę z dowolnie wysoko postawionej rodziny: Burbonów, czy Wittelsbachów; na razie jednak wolał swobodę, której używał drugi rok dopiero, po śmierci ojca, tyrana, w stylu conajmniej XIV-tego wieku. Atanazego lubił bardzo. Czasem zdawało się krył poza tem coś jeszcze... Ale na razie stosunki ich były idealnie czyste i bezinteresowne].

— Prepudrech ubiegł cię, Taziu. Byłbym ci z ochotą... Ale dla samej perwersyjności sytuacji nie mogłem odmówić temu...

— Panie Andrzeju: — zaczął zimno Baehrenklotz. — będę musiał zrzec się mandatu...

— Już. Jestem poważny. Może pan zechce łaskawie poprosić nas do siebie — zwrócił się z przesadną sztywnością do Atanazego. Weszli.

Na widok swego pokoju Atanazy zdębiał. Zdawało mu się, że nie był tu wieki całe. Miał wrażenie, że przed powzięciem zamiaru zdradzenia narzeczonej nie istniał rzeczywiście zupełnie. Zbudził się teraz dopiero z jakiegoś niejasnego snu i przeszłość wydała mu się naprawdę obcą, pełną luk, jak sen niedokładnie

przypomniany. „Tylko dlatego to mi się tak wydawać może, że bezsprzecznie moja przeszłość jest moją i tylko moją. Nawet w razie rozdwojenia osobowości każda z nich jest jednoznacznie określona i identyczna sama ze sobą.

Wszystkie te gadania o nieokreśloności i nietożsamości „ja”, są tylko pozą na absolutnie wyzwoloną z przesądów naukowość, a w gruncie rzeczy jest to pseudonaukowość, uniemożliwiająca poznanie istotne, przez wykluczenie z góry pewnych rzeczy rzeczywistych, jako nie podpadających pod materialistyczne i psychologizacyjne założenia. To udawanie przed sobą „wychodzenia z bezpośrednio danych”, przyczem już za pośrednio dane uważa się własne istnienie naprzykład. Albo z tą przewagą analizy nad intuicją! Bezczeszczenie Husserla na ten temat, że geometria Euklidesa jest względna w stosunku do istnienia i że linja prosta nie ma bezwzględnego znaczenia. Może być sto geometryj krzywych, wygodnych dla fizycznego opisu zjawisk, ale to nie dowodzi, że świat rzeczywisty jest krzywy i skończony”. Niewczesne dywagacje te przerwał mu Baehrenklotz:

— Nasz mocodawca prosi uprzejmie, abyśmy się dziś jeszcze zejść mogli z pańskimi świadkami, w celu załatwienia sprawy do jutra rano.

— Sądzę, że przy twoich znajomościach to nic wielkiego — zaczął Jędrus.

— To jest kwestja nie należąca do naszej kompetencji — przerwał mu Baehrenklotz. — Do drugiej w nocy czekamy w „Iluzjonie”.

— A więc chodźmy. Ja pęknę chyba w tej atmosferze oficjalności! — wykrzyknął Łohoyski. — Żałuję, Taziu — zwrócił się do zamyślonego Atanazego, — że nie możemy dziś jeszcze porozmawiać o tem wszystkim... — Baehrenklotz bez ceremonji wyprowadził go z pokoju.

Atanazy głodny jak pies (była już godzina ósma) rzucił się nagle jak obudzony ze snu. Rozebrał się gwałtownie i w dwie minuty prychnął już i parsknął w „tubie”, zmywając z siebie ślady popełnionej zdrady. Nędza tego wszystkiego gniotła jak zmora nocna. Postanawiał dziś przynajmniej nie iść do Zosi, ale okazało się to niewykonalnem. W pół godziny szedł już spiesznie na przeciwległy koniec miasta; umyślnie szedł, aby mieć czas zrekonstruować wszystkie środki do walki ze złem.

Atanazy nie myślał nigdy o złem i dobrem, jako takim — teoretycznie nie zajmował się etyką. Mniej więcej znał odpowiedniki pojęć tych w życiu i świństwie zasadniczo nie popełniał. Uwiedzenie żony przyjaciela, odbicie komuś tam narzeczonej, nieszkodliwe kłamstwo dla celów artystycznych, to znaczy: dla dopełnienia i wykończenia naszkicowanej przez przypadek sytuacji — takich wymiarów świństewka zdarzały się w jego drobnostkowo-bogatem życiu. Ale

wielkie świństwa, te graniczące z kodeksem karnym, jakoteż finansowe niedokładności, choćby najdrobniejsze, były mu obce zupełnie. Nad przewinami swemi cierpiał Anatazy nawet często długo i szczerze i postanawiał poprawę — przeważnie jednak napróżno. Z wolą było jakoś niewyraźnie. Występowała ona sporadycznie, ale nie była „mistrzynią twórczości codziennej”, jak wyrażał się były profesor Atanazego, Buliston Chwazdrygiel, biolog, wyznawca skrajnego materjalizmu. Zdarzały się wypadki „tytanicznych” przewyciężeń, które przychodziły lekko i ciężko zdobyte, drobne wymuszenia, niegodne nawet wspomnienia, a konieczne. Linja życia, zygzakowata i pogmatwana, poddawała się tajemniczej sile o kapryśnie zmiennych natężeniach, płynącej z zakazanych sfer „metafizycznego pępka” = (ściśle): bezpośrednio danej jedności osobowości, ze źródła wszelkiej metafizyki i sztuki. Brak spontanicznego rozpędu twórczego nie pozwolił nigdy Atanazemu powiedzieć o sobie, „jestem artystą”. Brzydził się nawet samym dźwiękiem tego słowa i wyśmiewał się z siebie bez litości wobec ludzi, wmawiających mu jakiegokolwiek talenty. Za to życie komponował podświadomie, jak prawdziwe dzieło sztuki, ale na małą skalę, niestety.

Ostatnie fazy rozwojowe, raczej upadkowe, sztuki współczesnej, potwierdzały mu jego wstręty. Mimo, iż nie czuł się „człowiekiem pełnym samego siebie”, spełniającym z zupełnym dopasowaniem między danymi a rzeczywistością swoją „misję na tej planecie” (wyrażenia księdza Wyprztyka) — to jednak na myśl o tem, że mógłby być jednym z „nich”, tych zatrutych ubocznymi produktami perwersyjnej twórczości dekadentów, Anatazy wstrząsał się dreszczem zgrozy i obrzydzenia. „Nie zatrują się tylko blagierzy i typy tak przeintelektualizowane, że w gruncie rzeczy blagierom równe” — tak powiedział kiedyś po pijanemu genialny Ziezio Smorski, którego potworne, zrobione jakby z surowego mięsa, różowej gutaperki i sztucznych włosów, utwory muzyczne, grano już po całym świecie z wzrastającym wciąż powodzeniem. Zatruewał się też porządnie: dwa razy ratowano go już w najśłynniejszym zakładzie dla nerwowo chorych. Za trzecim miał podobno zwarjować definitywnie, bez możliwości ratunku. Nie — artystą nie był i nie będzie, choć niektórzy mówili mu, że „jeszcze czas”. A zresztą czyż mógłby wybrać fach z pośród swoich niezliczonych talentów, począwszy od pisania wierszy i prestidigitatorstwa, do improwizacji na fortepianie i wymyślania nowych potraw — nie: cały urok życia polegał właśnie na wytrzymaniu w nieokreśloności. Ambicja, aby być kimś dla drugich, była u Atanazego w uśpieniu. Czuł, że nie należy budzić tego potwora, mogącego rozrosnąć się do nieoczekiwanych rozmiarów. Ale czyż samo życie nie mogło postawić go w położenie konieczności

zużytkowania nieznanymi mu dotąd sił i możliwości? Pochylił się znowu nad własną głębią, raczej „głębka”, jak nad kraterem: gurgito nel campo vasto — wracało bezsensowne zdanie: tajemnicze bełkotanie przelewającej się psychicznej magmy, duszące kłęby buchających wewnętrznych narkotyków („czy aby to wszystko nie jest blaga”, pomyślał. „Bo co kogo może obchodzić życie takie jak moje”) dawały znać, że potwór nie śpi. Bądź co bądź chwila zdawała się posiadać napięcie: „szalona miłość, pierwsza programowa zdrada, pojedynek — hm — to dosyć jak na dzisiejszy wieczór.” Manja tak zwanego „komponowania wypadków”, była tą szparką, przez którą, jak przez wentyl bezpieczeństwa, odciążało się ciśnienie artystycznych elementów. Kłęb dziwnego stanu, samego w sobie, nie objawionego jeszcze zabarwieniem żadnego rzeczywistego kompleksu, wybuchał jakby z samego dna istoty osobowości i chwiał się w nieokreślonym bliżej wymiarze ducha, zanim spadł na jakiś inny stan konkretny, lub na coś, dziejącego się w zewnętrznym świecie. Zdawało się, że już zaraz, za jakąś cieniutką przegródką, za przepierzeniem, które w każdej chwili rozwalićby można, kryje się coś niepojęcie nadzwyczajnego; że za chwilę stanie się coś, co zmieni wszechświat i jego samego w absolutną harmonję, w konstrukcję bez zarzutu, dziwaczną niezmiernie w swej jednoczesnej dowolności. Już, już, miała pęknąć ta bomba, odkrywając nowe światy — aż nagle mroczniało wszystko, stawało się dalekie i obce, tonęło w mętnej świadomości normalnego, codziennego dnia. „Gdybym był artystą, stworzyłbym w takiej chwili pierwszą ideję jakiegoś dzieła sztuki”, myślał w takich razach Bazakbal i miał zdaje się rację. Czasami zdawało mu się, że ma coś niesłychanie ważnego do powiedzenia o życiu, o przyszłości ludzkości, o sprawach społecznych. Chwazdrygiel namawiał go często na studia historyczno-filozoficzne. Ale wszystko rozbijało się o tak zwane „niedomykanie się kłapek”, „nieściśliwość stanów ostatecznych”, „brak związków funkcjonalnych między odległymi połączeniami intelektu” — wszystko w terminach samego Chwazdrygiela. Według niego najciekawszymi typami współczesności mieli być wszechstronni dyletańci — „les dégénérés supérieurs”, małe manometry, na których odbijać się miały wszystkie, najsubtelniejsze nawet, zmiany w układach sił społecznych. Atanazy chciałby bardzo być takim manometrem — niestety nie widział siebie w sposób dość interesujący: życie samo w sobie przestawało być wystarczającym powodem istnienia.

Automatycznie szedł przez gęstniejące ludźmi ulice. Miasto zbudowane było bez planu. Podobnie jak w niektórych częściach Londynu, najgorsze „slum’y” stykały się z ulicami względnie przyzwoitemi. Nagle Atanazy poczuł się zwykłym bubkiem

i ulica, jesienna, zimna, błotnista, wchłonęła go razem ze wszystkimi psychologicznymi dziwnostkami i nienarodzonymi świato- i życie - poglądami. Z szeregu kamienic wysunął się ogród otoczony sztachetami. W głębi, wśród drzew o żółtych i czerwonych bukietach zwiędłych liści, oświetlonych łukową lampą, przeświecała biała willa Osłabędzkich. Panował tam spokój obcy otaczającemu miastu. Była to wyspa cichego, czystego szczęścia wśród morza brudnej rozpusty. Do „miasta” należała Hela Bertz, była jego najistotniejszym symbolem. Czemu jednak to szczęście przesycone było tak straszną, nieznośną męczarnią? W którymś oknie na dole świeciła się zielona plama abażuru. Tam była Zosia, była naprawdę! Nie mógł w to uwierzyć: przez zdradę wyolbrzymiała mu do jakichś nie-ludzkich — oczywiście nie w fizycznym znaczeniu — rozmiarów, stała się dziwna i niepojęta, w metafizycznym sensie tych słów, tak, jak cały świat w rzadkich chwilach olśnienia, Tajemnicą Bytu. Sam był w tej chwili małym, nędznym, zwyczajnym człowieczkiem. Wpływał do portu, jak łódź w czasie burzy, po nieudalym poławie.

Informacja: [Pani Osłabędzka kładła właśnie niewiadomo którego już pasjansa. Zofja, jej córka, czytała uniwersytecki kurs psychopatologii. Studjowała medycynę zupełnie bez zewnętrznej potrzeby, dla jakichś swoich, tajemniczych celów. Zaczęło się od naukowej ciekawości, potem przeszło to w obowiązek, potem przyzwyczajenie, aż nareszcie utknęło w czystej dobroci, jakichś zamiarach pielęgniarско-szkolnych, nudnych jak flaki z olejem rycynowym. Aż wreszcie zjawił się Atanazy i wszystko wzięło w łeb. Skończyć jednak trzeba, co się raz zaczęło — taka była zasada Zosi.]

— Tazio spóźnia się. Miał być zaraz po kolacji — szepnęła jakby do siebie.

— Zobaczysz jak będzie się spóźniał w rok po ślubie — odpowiedziała mama. — Ja znam ten typ niespokojnych brunetów. Jest zbyt inteligentnym, by mógł polegać na sobie: wszystko przeanalizuje tak, że na wszystko będzie mógł sobie pozwolić.

— Mamo — zaczęła z wyrzutem Zosia — ja zupełnie inaczej patrzę na życie. Mnie trzeba choć trochę tej fantastyczności, której w sobie nie mam zupełnie. On mi daje to wszystko: wypełnia moje najważniejsze marzenie dzieciństwa.

— Zobaczysz, czem będzie dla ciebie ta fantastyczność później. Czy ty kochasz go naprawdę? — pytała poraz setny może od dziesięciu dni.

— Już ci mówiłam: ja nie nazywam nic po imieniu. Jemu mówię, że tak, bo możeby mnie nie zrozumiał inaczej — tego jednego tylko — bo zresztą on wie

wszystko. Mężczyźni są tacy dziwni w tych rzeczach najprostszych.

— Co ty wiesz o tem... — Zaiste Zosia nie wiedziała nic. Narzeczony pocałował ją pierwszy. Ale na tle lektury, rozmów i studjów myślała, że wie dużo więcej od matki.

Bez pukania wpadł do pokoju Atanazy. Już nie był „bubkiem”, już nie odpoczywał. Cała komplikacja jego istoty była tu, przed nim, jak na stole, jak na półmisku, przywalona miażdżącym ciężarem niezrozumiałej miłości.

Informacja: [Zosia była prawie Inianą blondynką, podobnie jak jej matka, która zaczęła właśnie gwałtownie siwieć. Były obie aż nieprzyjemnie do siebie podobne. Fakt ten łagodziło to, że pani O. była osobą dość dla Atanazego sympatyczną, mimo pewną kańciastość charakteru i nie zawsze taktowną prawdomówność. Zosia była prześliczną, szczególnie dla wysmukłych brunetów. Oczy jej zielone, trochę ukośne, ale nie tak, jak u Heli Bertz, miały w sobie dziewczynkowatą kotkowatość, na tle bestyjkowato-lubieżnawem, przy jednoczesnej głębi, zresztą chwiejnej i mądrym, zimnem zamyśleniu. Pełne, bardzo świeże i czerwone, trochę niekształtne w rysunku usta, rozedrgane i niespokojne, stanowiły kontrast, ze zwracającym uwagę klasyczną pięknnością, prostym i cienkim nosem. Była wysoka i w miarę pełna. Ręce i nogi cienkie w przegubach i długie, wrzecionowate palce. Koniec.

Stary Osłabędzki na szczęście nie żył. Miał to być dziwnie gnębiący wszystkich pan, przy pozorach nadzwyczajnej łaskawości i względności. Obie panie, mimo iż nie śmiałyby się przyznać do tego za nic na świecie przed kimś, ani przed sobą nawet, używały w cichości samotnego szczęścia w domu i swobodnego rozporządzenia dość dużym majątkiem ziemskim i „miejskim”. Podobno rodzina Rzewskich, z której pochodziła pani O. używała w Małopolsce hrabiowskiego tytułu. Stąd lekkie, ale nieszkodliwe zresztą fumki i puszenie się. Atanazy, jako potomek tatarskiego rodu 3-ciej klasy, o którym pies nie wiedział, nie był zupełnie odpowiednim mężem dla Zosi. Stąd atmosfera mezaljansu. Ale trudno — takie były czasy. Pani Osłabędzka miała zwyczaj mówić sobie na pocieszenie, że „przykład idzie z góry” i opowiadała tam, gdzie ją chciano słuchać o austriackiej arcyksiężniczce, która wyszła za marynarza, takiego prostego „von” i o księżniczce de

Bragança, żonie hrabiego Łohoyskiego, stryja Jędrusia.] Na widok Zosi Atanazy przestał na kilka sekund istnieć. Okropny ból wyrzutu i spotęgowanej miłości, wstydu i wstrętu do siebie, zmięszany z dzikiem wprost wyidealizowaniem



narzeczonej, to wszystko zdławiło go za gardło, jak jakaś ohydna mordercza, olbrzymia łapa. Na dziś miał dosyć. Padł na kolana i całował nieśmiało jej rękę, dusząc się od niewyraźalnych uczuć. Poczem zerwał się i przywitał się z mamą.

— Przebacz mi — rzekł nieswoim głosem. — Miałem parę spraw do załatwienia i jeszcze nie skończyłem wszystkiego. I tak z trudem zdołałem wyrwać tę chwilkę z chaosu dzisiejszego dnia. Muszę zaraz iść.

— Ale czemu jesteś taki jakiś dziwny?

— Nic — tęskniłem za tobą strasznie. Miałem wrażenie, że coś złego się stało. Nie wiem. Zanadto cię kocham zdaje się. Nie poznaję siebie. — Pani O. spojrzała na Atanazego uważnie i bez wielkiej sympatji. Nagle wszystko uleciało tam, w fantastyczną sferę nadchodzącego cudu (to stosuje się do Atanazego). Wytrysnął z dna istoty tajemniczy obłok objawień, kryjący oślepiające światło ostatecznej prawdy. Atazany wziął Zosię lekko za ramię.

— Czy mogę przejść do ciebie? Chcę ci powiedzieć pewne rzeczy, które panią znudzą na pewno. Pani się nie pogniewa? Prawda?

— Panie Atanazy: pan wie, że jestem bardzo wyrozumiała, gdyż sama przeszłam rzeczy straszliwe. (Co to było nikt nie wiedział i nikt się nigdy nie dowiedział). Wiem, że świadome przeciwdziałanie fatalistycznym wypadkom, gorsze jest od biernego poddania się przeznaczeniu.

— Przypadku niema — odpowiedział już twardo Atanazy, odzyskawszy, wobec teoretycznego zagadnienia, całą równowagę umysłu. (Zosia cieszyła się wszystkim jak dziecko). — Albo wszystko jest dowolnością, w pewnych granicach możliwości, w granicy, w znaczeniu matematycznym — wyglądającą czasem na konieczność na podstawie zasady wielkich liczb, albo jest konieczność absolutna i wtedy pojęcie wyboru rzeczy dość wielkich, aby były fatalistyczne, niema sensu.

— Jest pan grzeczny jak zwykle. Niech się pan nie gniewa, ale jeśli ja pana nie wychowam, to chyba nikt już nigdy, bo Zosi nie wierzę w tym wypadku zupełnie. Idźcie, dzieci. Niech pan tylko zanadto się przed nią nie wywnętrza: ani teraz, ani po ślubie. Mężczyźni wogóle nie wiedzą teraz co można mówić, a czego nie: stracili wszelki takt. A zresztą trzeba być zawsze trochę tajemniczym dla ukochanej kobiety. — Atanazy skłonił się i przeszli razem z Zosią do jej panińskiego pokoju. Teraz dopiero, na tle spokoju tego domu, odczuł Tazio jutrzejszy pojedynek jako coś nieprzyjemnego, ale jeszcze żaden cień strachu nie musnął nawet jego świadomości.

Oczywiście myślał dalej: „Zadowolenie z własnej małości i usprawiedliwanie

tego zadowolenia, przez metafizyczne ubezwzględnienie względnej wartości wszystkich uczuć w życiu. Słabość, dobroć, roztkliwienie nad sobą, płaski egoizm, szukający potwierdzenia w fałszywej dobroci, w tym właśnie roztkliwieniu i rozczuleniu. Wstrętne słowa!" Jakże marne wydały mu się te wszystkie jego pseudo-myślątka, wobec ogromu potężniejszego ciągle uczucia, które zdało się być czymś obiektywnie poza nim istniejącem, poza całą obrzydliwością jego psychicznych bebechów. Szczyt wieży tonął już w ciemnościach dla umysłu nieprzenikalnych, a widoma podstawa puchła w dziwacznych skrętach, unosząc na galaretowatym podłożu całość, z djabelskim sprytem wymyślonej, budowy. Wszystko trzymało się jak polip morski na cienkiej szypułce, pępownicy, która lada chwila mogła pęknąć. (Temi słowami prawie, myślał o tem — co za upadek!). „I co wtedy, co wtedy”, pytał siebie, nie wierząc chwilami w rzeczywistość całej tej historii w ogóle. „Może tego wcale niema? Och — jakże byłoby wtedy dobrze!” I znowu: „Gdybym był kimś, artystą, twórcą życia, nawet marnym społecznikiem (czemu marnym?) uniósłbym to wszystko (to znaczy: Zosię, przyszłą teściową i willę chyba) w inny wymiar i stworzyłbym wielkość tego prawdziwą. Tak jak jest muszę brnąć w to takie jakim jest. Umetafizyczniam to sztucznie, tworząc z tego udany absolut, ogólne równanie wiecznych praw, aby bez wstydu wobec samego siebie, oddać się straszliwej rozpuście czystego uczucia”. U natur tego rodzaju, co Atanazy, czyste uczucie jest tylko formą psychicznego onanizmu: tego znienawidzonego, skopanego z pogardą siebie, uwielbia się w postaci projekcji na drugą osobę — kobietę, czy mężczyznę — to już wszystko jedno. Są to te osobniki, które mogą być z łatwością homo- i heteroseksualnemi, zależnie od tego jakiego rodzaju ekran nadaje się lepiej, dla odbicia ich wdzięcznych sylwet w celu samoubóstwienia. Dwoisty erotyzm jest dla nich dodatkiem tylko — naprawdę są onanistami.

Nie wiedziała nic o tem biedna Zosia, ale i Tazio nie wiedział pewnych rzeczy, tak o sobie, jak i o niej. Trzymając teraz w obu rękach jego umęczoną głowę, myślała sobie: „Jaki on biedny, głupi, daleki odemnie, jak jakieś stworzenie innego gatunku, mimo całej, wyjątkowej naprawdę inteligencji. Na czem to polega! Taki biedny, zagmatwany chłopczyk. Jakże mi go żal strasznie. A czasem, gdy mi się podoba, rozszarpałabym go na strzępki, żeby go już wcale nie było”. Tu spojrzała w oczy Atanazego z nagłym błyskiem żądz, która objawiła się na jej twarzy w postaci przelśnionego, jakby wizją zaświatów, zachwytu. „Ja wszystko dla niego zrobię. On musi być bardzo biedny gdy jest sam. Takim go nie znam i nie poznam nigdy. Takim nie zna się i on sam naprawdę. To jest miłość, to, co myślę, tak: to

co myślę, a nie odczuwam — inaczej być nie może. Ach — gdyby tak jednocześnie i on i Miecio Baehrenklotz na dodatek — to byłoby szczęście. (Co u diabła

— czyż ten biedny Atanazy mógł być główną osobą dla kogoś, jedynie tylko w kombinacji z kimś innym? Gdyby mógł wiedzieć co myślała Zosia, nie robiłby sobie wyrzutów z powodu jakiejś głupiej „perwersji”). Życie moje nie jest nędzne teraz tak, jak przed rokiem, kiedy ze zgrozą myślałam o nadchodzącej wiośnie i pustce we mnie i dookoła. Jestem psychiczna masochistka, a fizyczna sadystka. Możliwe, że (nawet napewno) on jest odwrotnością tego i dlatego go kocham — kocham go — ach, co za szczęście!“ — Kocham cię — wyszeptała i pocałowała go lekko w czoło, zamiast ugryźć w wargi, na co miała ochotę.

Atanazy zamarł w nieludzkiem szczęściu nasycania się, dręczącą go swoim ogromem, miłością. I nagle, jak ryk okropnego bólu w ciszę oczekiwania, jak nóż między włókna żywego mięsa, wdarł się w tę chwilę wyrzut sumienia. Nieszczęście zważyło się na niego, jak jeden blok. „Świadomość, odpadek ponadskończonej egzystencji ciała, w którym miliardy istnień (aż do nieskończenie małych w granicy) tworzą swój wszechświat w ograniczeniu jednej osobowości, zgasła w bydlęcem cierpieniu“. Tak określiłby to Atanazy, gdyby mógł w tej chwili myśleć. Jakaś iskierka świeciła jeszcze w bezdennej ciemności, jak jedyna gwiazda na pustym niebie. „Już nigdy nie będzie to tem, nigdy“. Z tej iskry zbudować wszystko na nowo? Wydawało się to nadludzką, tytaniczną pracą — i nudną przy tem, nudną do obłędu. Życie przed nim było grzeszną pustynią bez kresu, przez którą trzeba było brnąć w zwątpieniu i męczarni.

— Nigdy już, nigdy — wyszeptał.

— Co nigdy? — spytała Zosia.

— Nie pytaj teraz o nic. Nigdy cię już nie skrzywdzę. Jestem twój na wieki — wyrzekł jak formułę przysięgi i skłonił głowę na jej kolana. A jednocześnie łowił resztkami przytomności tamtą chwilę i rozumował tak: „przez tę zdradę, zamiast zniszczyć wszystko, poznałem wyższy stopień uczucia. Dlatego niema w tem winy, ponieważ okupione jest wszystko w innym wymiarze“. Nagle wstał, prosty i uroczysty, podniesiony na duchu ostatnio odkrytą prawdą. Nie wątpił, że to jest prawda i nie czuł nawet cienia popełnianego, subtelnego świństwa. A skoro go nie czuł, nie było w tem żadnego świństwa faktycznie. Cóż mogły go obchodzić sądy tych, którzy, gdyby mogli przy pewnych warunkach i inteligencji i intuicji i tak dalej i tak dalej... Ale nawet w tak ogólnikowej formie nie zjawiała się żadna wątpliwość. Po paru sekundach oczekiwania na nią, Atanazy poczuł, że musi mieć

rację i że wszystko, co zaszło, było koniecznością i to koniecznością dobrą. Ucałował Zosię w głowę. Nie miał jednak odwagi pocałować ją w usta.

— Muszę już iść. Nie pytaj o nic — rzekł dźwięcznie, krystalicznie. „Ani myślę”, pomyślała Zosia: „I nic mnie to w tej chwili nie obchodzi. Pewno jakaś historyczna »komplikacja wewnętrzna«”. Przemknęła chwilka nikła, jak puszek, która jednak położyła się brudnym, burym cieniem-ciężarem, na ich płaczące się od pewnego czasu życia. „Kabotyn”, przemknęło jej przez myśl jakby bezprzedmiotowo. „One mają jednak intuicję, te bestje”, pomyślał, w związku z możliwością domysłów Zosi na temat jego „zdrady”, Atanazy, zapatrzywszy się w jej oczy, zwrócone spojrzeniem do wewnątrz. Poczuł się zdemaskowanym, mimo pewności, że Zosia niczego się nie domyśla, zdemaskowanym co do ogólnych zarysów swego psychicznego mechanizmu. Oboje domyślali się czegoś na swój temat i oboje krążyli dookoła nieświadomego punktu przecięcia ich podejrzeń, nie mogąc, a może i nie chcąc dociec ostatecznej prawdy.

Informacja: [Mimo istotnej niższości intelektualnej Zosia była dużo sprytniejsza od Tazia, który nie znał się wogóle na ludziach i chełpił się tem nie wiadomo dlaczego.] Wyszedł, pocałowawszy ją jednak przelotnie w usta i tajemnica ich wzajemnego stosunku pozostała znowu w zawieszeniu na czas nieograniczony.

Atanazy pojechał do kawiarni „Iluzjon”, gdzie spodziewał się zastać potrzebnych mu oficerów. Czuł się wprost świetnie.

Wiszący nad nim pojedynek dodawał tylko uroku przemijającym chwilom. Wszystko było jakieś ładne, ciekawe i konieczne. „To samo Łohoyski ma po „coco”, o ile nie łże”, pomyślał. „A ja bez tego potrafię tak się patrzeć na świat”. Oficerów znalazł (Rotmistrz Purcel i porucznik Grzmot), załatwił z nimi szybko sprawę i, dawszy im carte blanche na definitywne załatwienie, napuścił ich na świadków księcia. Łohoyski chciał mu coś powiedzieć, ale uciekł mu szybko. „Temu wszystko wolno, ale nie mnie. Jednak byłoby zabawniej, gdybym był hrabią”. Było prawie pewnem, że pojedynek odbędzie się jutro z rana. Na wszelki wypadek kazano mu się obudzić o 5-tej. Do Prepudrecha nie czuł ani złości, ani nawet niechęci. Raczej było mu go trochę żal. „Będzie strzelał pierwszy i chybi skutek trzęsawki strachowej, a ja wpakuję mu karmelek w prawą półkulę”, myślał Atanazy, idąc do domu. Wszystko i zdrada i widzenie z Zosią i pojedynek, ułożyło mu się w harmonijną całość. Był zadowolony z kompozycji tego dnia.

— Gdyby wszystkie dni układały się w ten sposób, całe życie byłoby utworem dość znośnym, byłoby pewną jednością w wielości — rzekł głośno, zapalając

światło w swoim pokoju.

Znowu cały dzień przesunął mu się z szaloną szybkością w pamięci, ale ze wstrętnym jakimś zabarwieniem i w ohydnej deformacji, z uwypukleniem momentów kłamstwa i podłości. Ale wrażenie to ustąpiło zaraz miejsca poprzedniemu poczuciu harmonji.

— Peuh — rzekł z francuska. — Przeżywaliśmy rzeczy stokroć gorsze. — A jednak nie było to prawdą.

## Rozdział II

### NAWRÓCENIE I POJEDYNEK

Była 9-ta rano, gdy Józia Figoń otwierała drzwi od sypialni Heli Bertz, wpuszczając tam, jak kota do pokoju, w którym jest szczur, księdza Hieronima Wyprztyka z Zakonu Paralelistów, doktora teologii i profesora Najwyższej Dogmatyki na uniwersytecie tu i w dalekiej Antjochji. Ojciec Hieronim był to wysoki, (na 2 m. 10 cm.) chudy blondyn, z olbrzymim orlim, skrzywionym na lewo nosem. Nie miał w sobie nic klasztornego. Jedynie dla nadania osobie swej większego znaczenia jako łowcy dusz, wstąpił do misjonarskiego zakonu. Tylko niebieski pas na czarnej sutannie zwiastował w nim Paralelistę. Pochylił się naprzód, wyciągając szyję, jak kondor i starał się przebić swym świdrowatym wzrokiem półmrok dusznej sypialni. Zapach kolacji (dobrej), perfum z leśnej jesiennej, gencjany i jeszcze czegoś... („Ha — już wiem”, pomyślał) — tak: subtelny zapach „orgji cielesnej”, jak się wyrażał — podrażnił jego czułe nozdrza mikrosplanchika i niedoszłego schizofrenika. W chwilach takich: obowiązkowego zbliżenia się do rzeczy niedozwolonych, ksiądz Hieronim „nasycał się najbardziej rzeczywistością”. Określenie to znane było w kołach pewnych narkotystów i jeszcze jakichś „istów” życiowych, pomiędzy których zabłąkało się paru jego uczni, z czasów kiedy był katechetą, czyli jak mówiono, cierpiał na katecheksję. Nagle, z przesyconego zawiłą kombinacją zapachów mroku, przebiwszy kłąb rodzących się nieprzyjemnych uczuć i żalu i złości, które przeszły w „tło zmieszane”) wystąpił przed nim obraz śpiącej Heli. Rozsypane, kręcące się, rude włosy otaczały lubieżnie, jakby w skurczu rozkoszy, skręconą jej głowę. Jedna, gwałtownie

dyszcząca, prześliczna pierś kształtu indyjskiej dagoby, z małą, niewinną jak kwiatek różową brodawką, wąska, o wysokim podbiciu, niebieskawo-biała noga i ręce — to wywalone było na wierzch. Reszta ciała wyginała w seksualnie-obiecujący szkic cienką, ciemno-czerwoną kołdrę. Ksiądz Wyprztyk coraz wyraźniej nasyczał się rzeczywistością... Ale zaraz ocknął się i przechodząc nagle w inny wymiar, uczynił: ze zmysłowego obrazu płaską plamę wspomnienia, na uciekającej przeszłości i zatrasnął ciężkie wrzeczadze woli, poza którymi, we wnętrzu swej ognistej, namiętnej istoty, w piekiełku, gdzie chował nadworne, nie dające się zabić monstra, dyszała, między innymi, niedotłamszona nigdy do końca, żądza życia. Już transponował tę energję za pomocą zawitych, jemu tylko znanych wzorów, na inne, wyższe wartości. Dotknął długim, kościstym, opatrzonym w płaską poduszczkę, palcem, nagiego ramienia swojej przyszłej ofiary, na którą od kilku lat już czatował.

— Jak się masz, mrówkolwie? — szepnęła Hela, budząc się na wesoło. Zakończenie zapomnianego w chwili przebudzenia snu było rozkoszne. Coś absolutnie niekreślonego szło w górę, rozprzestrzeniając się wachlarzowato, w przyjemnem zatraceniu poczucia przestrzeni.

— Czy znowu w tym tonie zamierzasz mówić ze mną, krnąbrna córeczko? Wychodzę i tym razem nigdy już nie wrócę — rzekł Wyprztyk, bez cienia urazy w głosie. Hela ocknęła się zupełnie.

— Nie, ojciec: tym razem chcę się przechrzcić naprawdę.

Tylko nie żądaj odemnie wiary, dziś, zaraz, na czekaniu. Czuję się bardzo źle sama ze sobą. Nie mogę wyzbyć się uczucia zupełnej samotności i pustki, mimo przyjaciółek i przyjaciół.

— A nawet kochanków — obojętnie zauważył Ojciec Hieronim, pociągając zlekka nosem.

— Tylko dziś — właśnie po raz pierwszy oddałam się z całą świadomością pewnemu młodemu człowiekowi, ale z tem zastrzeżeniem, że ślub nasz odbędzie się w najbliższych dniach. Jest katolikiem i... — — I w tym celu....?

— Nie, nie tylko w tym, jakkolwiek to wchodzi też w system działających sił.

— W ognisku tych potęg nie widzę prawdziwego natchnienia, mającego źródło swoje w wiecznej prawdzie — ironicznie zauważył ksiądz.

— Ojciec, ja nie zniosę dłużej tego tonu i języka, którego ojciec używa, zarówno w stosunku do krnąbrnych kucharek, jak i do mnie. Jestem sama w znaczeniu metafizycznym... odczuwam wszystko jako majak. Ja przecież czytałam wiele —

ze mną nie można tak.

— Właśnie dlatego, że jesteś zbyt czytana w filozofii chciałem cię zażyć od strony zupełnej prostoty. Ale skoro nie, to nie. Wytoczę argumenty cięższe.

— Przedewszystkiem jak pozbyć się tego gniołącego uczucia samotności? Ja chcę żyć, a wszystko mi się z rąk wymyka i wszystko „jest nie to”. Chyba mam warunki, aby stworzyć sobie życie takie, jakiegobym pragnęła? A tu nic: życie płynie obok jakby, a ja wołam was wszystkich niemym głosem, którego nikt nie słyszy i mimo, że jesteście ze mną, uciekacie ciągle w dal przeszłości. Każda rzeczywistość ma dla mnie żaloszny smak niepowrotnego wspomnienia nigdy nie byłego wypadku. Ja chcę wierzyć, bo to jedynie nada sens ostateczny wszystkiemu, mimo, że gdzieś na dnie duszy, a raczej intelektu, będę uważała to za rezygnację, za świadomy upadek.

— Tak. Wiem o tem: jest to pragmatyczny pogląd, który tępię wszędzie, gdzie mogę. Najpłytsza doktryna jaka istnieje — zastosowana zresztą dobrze do marności naszych czasów. Wszyscy jesteśmy pragmatystami, w znaczeniu czysto zwierzęcym: chodzi nam oto, aby nam było dobrze: każdemu bydlęciu, ba: komórce o to chodzi. Ale różne są stopnie tego, co jest dobre: jest cała hierarchja pożyteczności i przyjemności, dla której ustawienia w samem, czystem pojęciu pragmatyzmu niema kryterjów: zupełna względność.

— Kryterja są społeczne — wtrąciła Hela. — Pęd ludzkości ku coraz większej społecznej doskonałości stwarza kryterja dla tablicy wartości w każdej epoce. Kryterja pragmatyzmu muszą być społeczne, inaczej każda bzdura mogłaby mieć pretensje do względnej chociażby prawdziwości. Po zbankrutowanej demokracji, przychodzi komunizm, czy syndykalizm, ale wszystkie ideje te, z których dwie pierwsze są wyrazem nietrwałego stanu rzeczy w stadjach pośrednich, mogą opierać się na pragmatyzmie, zarówno, jak i na oświeconym absolutyzmie. Tylko że w dawnych czasach uświadomiony pragmatyzm był społecznie niepotrzebny...

— Poczekaj, córeczko: w zasadzie zgadzam się z tobą, ale wprowadzasz takie zamięszanie nadmiarem koncepcji, że nigdy z niego wybrnąć nie zdołamy. Za dużo chcesz powiedzieć odrazu. Dziś chodzi o jedno tylko: abyś uwierzyła w konieczność twego nawrócenia i to właśnie nie z pragmatycznego punktu widzenia. Musisz uwierzyć nawet wtedy, jeślibyś z tą chwilą miała antycypować najgorszy nawet subiektywny stan duszy, na czas nieograniczony.

— Przyjemna perspektywa. Ja chcę być metafizycznie szczęśliwa i koniec. Obowiązkiem twoim, ojczy, jest dać mi to.

— Przestań być choć na chwilę bardzo bogatą żydóweczką, o nadmiernie wyostrzonym intelekcie — zresztą typowo po semicku nie-twórczym — przestań raz czegokolwiek wymagać. Poddaj się tak, jak dla eksperymentu poddawałaś się hipnozie. Chodzi o „nastawienie” — bez odpowiedniego nastawienia niczego zrozumieć nie można. Musi na początku być ta podstawa, to, co na przykład Husserl, w stosunku do swojej teorii, nazywa „phenomenologische Einstellung”. Pieniądze twoje nic tu nie pomogą, choćbyś je wszystkie oddała na mój klasztor. Przysięgam ci, że nie to jest moim celem.

— Podświadomie...

— Wszystko można przenicować bez dowodu, przy pomocy pojęcia podświadomości. Dobre jest ono między psychoanalitykami. Wykluczmy je z naszych rozmów na zawsze. Ukórz się przed ideją, którą przedstawiam, a nie przedemną. Czyż dowodem za mną nie jest właśnie to, że ty właśnie, mimo twoich bogactw, piękności, żydowskiej pychy i, powiedzmy otwarcie: mądrości, musiałaś zwrócić się do mnie, do mego świata, po odpowiedź na najistotniejsze, bo metafizyczne udręczenie.

— A może jest w tym jedynie interes papy? Może ja osłaniam tylko sobą, jakąś brudną czysto żydowską machinacją? Może to wasza sugestia wspólna...?

— Nie: ojciec twój, którego przywiązanie do jego wiary niezmiernie cenię, w głębi duszy rozpaczony jest z powodu twego zamiaru. Ale inna rzecz, że i on przyjął chrzest musi. Nie śmiał ci tego zaproponować, abyś pokryła ten jego czyn wobec drugich — wiesz kogo?? — maską twego pozornego, czy rzeczywistego despotyzmu. I mimo całej rozpacz, z radością uchwycił jednak tę sposobność. Zemści się to na nim w ten sposób, że będzie najgorliwszym katolikiem za rok, lub dwa. A jednak już teraz jest finansowo szczęśliwy, gdyż jako żyd nie mógłby wejść w pewien krąg międzynarodowych interesów. Teraz dopiero stanie się prawdziwą siłą.

— Siłą godną opanowania przez księdza? O, jakżeż ty się potwornie dajesz nabierać, ojczy Hieronimie!

— Rozdwojenie ducha u istot tak potężnych, jak twój ojciec, musi być straszliwym cierpieniem — zagadał kwestję ksiądz Hieronim.

— Dosyć tych życiowych roztrząsań — przerwała mu Hela. — Ani ksiądz, ani ja nie zrozumiemy nigdy istoty afer mojego ojca. Zostawmy go w spokoju. Jako człowiek życia jest ksiądz naiwny jak małe dziecko. Ja chcę mówić o tem, w czem naprawdę objawia się twoja siła. Wiem, że jako kobieta nieistnieję dla ciebie



zupełnie. To już imponuje mi bardzo...

— Nie jest to tak pewne, jak ci się wydaje, moja córko. Wchodząc tu, doznałem dziwnego wrażenia: chcesz, to ci powiem: pomyślałem sobie, że całe życie moje nie byłem tym, którym być miałem.

## Koniec wersji demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

